PISMO INFORMACYJNO-KULTURALNE WSCHODNIEJ BIAŁOSTOCCZYZNY

Czasopis

CENA 1 zł 50 gr ROK VII NR 11 (70) LISTOPAD 1996

W NUMERZE:

— Czaławiek, kupicie nasz himn! — jakaś kobieta zaczepiła Sokrata Janowicza. Ten, zmieszany, szybko wyłożył 50 tys. rubli, mówiąc, że nie odmawia, gdy kobiety składają mu propozycje.

Stagnacja i niepokój

str.17

— Każdy naród ma swoich bohaterów. Każdy ma również zdrajców — zdolnych nawet do wydania kogoś z rodziny. Działalność konfidentów, naganna moralnie i godna potępienia, w skrajnych warunkach może być nawet zbrodnicza, a Białorusini nie są tu wyjątkiem.

Konfidenci z Gródka i okolic

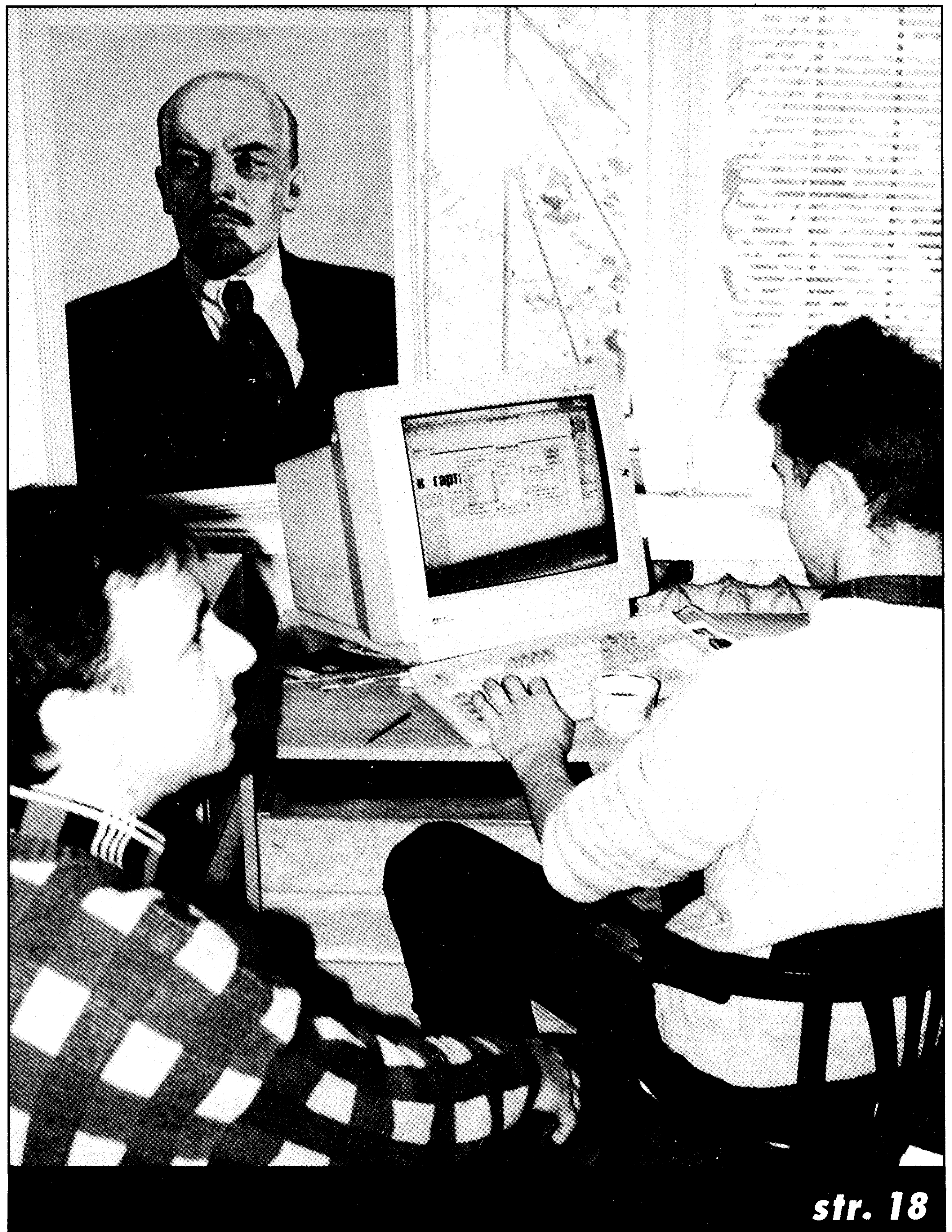
str.24

Zapomniano o nim zarówno w Polsce, jak i w Białorusi. Wydaje się, że przyczynił się do tego sam poeta, który pod koniec życia był już tylko katolickim księdzem, chociaż wyróżniającym się i zasłużonym dla swego Kościoła. Sądząc z rozmów z mieszkańcami okolic Bombli — z niewiadomych przyczyn ukrywał on swoją białoruskość.

Zapomniany poeta

str.27

WOLNOŚĆ NA PAPIERZE



str. 18

Czasopis

Pismo Informacyjno-Kulturalne
Wschodniej Białostocczyzny
Ukazuje się co miesiąc

Wydawca
Stowarzyszenie Dziennikarzy
Białoruskich

Adres redakcji
15-001 Białystok, ul. Suraska 1,
skr. poczt. 262
tel. 42-11-05

Redaktor naczelny
Jerzy Chmielewski

Zespół redakcyjny
Wiesław Choruży, Sławomir Iwaniuk, Jerzy Kalina (sekretarz redakcji), Dorota Sulżyk, Jerzy Sulżyk

Stali współpracownicy
Piotr Bajko, Doroteusz Fionik, Andrzej Gawryluk, Helena Głogowska, Mikołaj Hajduk, Sokrat Janowicz, Michał Kondratiuk, Mirosława Łuksza, Michał Mincewicz, Sławomir Nazaruk, Jerzy Osiennik, Aleksander Sołowianowicz, Dorota Wysocka

Kompozycja typograficzna i skład
Jerzy Chmielewski

Druk
Orthdruk, 15-399 Białystok,
ul. Składowa 9, tel. 42-25-17

Prenumerata
Odpowiednio do liczby jednorazowo zamawianych egzemplarzy i okresu prenumeraty należy wpłacić wielokrotność 1,50 zł na rachunek: Stowarzyszenie Dziennikarzy Białoruskich PBK I/O Białystok 370406-6262-2700-1-74.
Nr indeksu 355035
ISSN 1230-1876

Pismo dofinansowane przez Ministerstwo Kultury i Sztuki Rzeczypospolitej Polskiej przy współudziale Fundacji im. Stefana Batorego i Fundacji Kultury.

Numer zamknięto 30 października 1996 r.

Sztuka informowania

Moja znajoma z Mińska, samotna młoda nauczycielka informatyki, opowiedziała mi niedawno sensacyjną historię o sposobach działania tamtejszych służb specjalnych, które ona odczuła na sobie. Otóż, postanowiła drukować i rozpowszechniać ulotki — takie jak ta, którą w przekładzie na język polski opublikowaliśmy w tym numerze. Ponieważ miała dostęp do komputera z drukarką laserową i dużo wolnego czasu, więc po pracy zostawała w szkole, by redagować krótkie informacje i hasła, zaczerpnięte najczęściej z niezależnej prasy opozycyjnej i radia „Swaboda". Następnego dnia, idąc do pracy, rozwieszała trzy, cztery kartki na klatkach schodowych i przystankach autobusowych.

Po dwóch tygodniach, wieczorem, przyszli do niej dwaj nieznajomi mężczyźni. Grozili aresztowaniem. Kobieta zlekceważyła ostrzeżenie i nadal „bawiła się" w konspirację. Po kilku dniach ponownie usłyszała pukanie do drzwi. Odwiedził ją jeden z poprzednich nocnych gości. Tym razem mówił zupełnie innym tonem. — Wiem, że treść ulotek jest słuszna, dlatego radzę, aby Pani jak najszybciej wyjechała z kraju. Mogą Panią zamordować, upozorują samobójstwo...

Znajoma przestraszyła się nie na żarty, z rana spakowała walizki.

Przytoczyłem tę historię jako szczególny przykład dzisiejszej, trudnej białoruskiej rzeczywistości. Reżim, terror, prześladowania — słowa bardzo często przytaczane ostatnio w relacjach z Białorusi — brzmią groźnie. W wyniku polityki informacyjnej i propagandy minionego systemu, te pojęcia przywołują w naszym społeczeństwie od razu obraz wojny i rewolucji. Tymczasem po białoruskich ulicach wcale nie jeżdżą czołgi. Dlatego pewnie wielu z nas, szczególnie ze starszego pokolenia, wiadomości agencyjne (także te z „Czasopisu") o Białorusi przyjmuje z niedowierzaniem. Mogłem się o tym przekonać podczas ostatniego festiwalu „Bardaŭskaja wosień" w Bielsku Podlaskim. Zdobywca Grand Prix, odbierając nagrodę, powiedział, że „w Białorusi wolności nie ma". Siedzący przede mną człowiek w średnim wieku skomentował to jednym słowem. — Łoż! (kłamstwo) — krzyknął na całą salę, ale jego głos zagłuszyła muzyka.

Trudno przekonać kogoś, kto nie chce nam uwierzyć, bo sam wszystko wie najlepiej. Zresztą nie ma co się temu dziwić, bo — jak powiedział pewien socjolog — mieć swój rozum jest odwieczną cechą białoruskiego narodu. Oczywiście, taki sceptycyzm w pewnych przypadkach bywa zasadny i wskazany — także w odniesieniu do niektórych poglądów prezentowanych w „Czasopisie". Jeszcze niedawno gazety miały zwyczaj zamieszczania w stopce zastrzeżenia, że redakcja nie podziela zdania wszystkich autorów. Stało się to na tyle oczywiste, że ów zapis nie jest już konieczny. Uważam jednak, że w przypadku jednego materiału z tego numeru nie zaszkodzi jeszcze raz to podkreślić. Chodzi mi o rozmowę redakcyjną. Naszego gościa zaprosiliśmy, aby umożliwić mu zaprezentowanie swoich poglądów na aktualne wydarzenia i problemy. Nie wszystko, co powiedział rozmówca nas przekonało. Interpretację rozmowy pozostawiam jednak samym Czytelnikom.

Jerzy Chmielewski



Гурт „Брага" з Гарадка на заканчэнне „Бардаўскай восені" выступіў з канцэртам прысвечаным памяці памерлай у гэтым годзе Марылькі Базылюк-Сасьнюк **Фота Юркі Асенніка**

OPINIE

■ *Na Białostocczyźnie są szkoły, które dostają dodatkowo ponad miliard dotacji. W naszym wspólnym interesie więc jest, aby języka białoruskiego uczyło się u nas jak najwięcej dzieci. Jeżeli nie stać was na miłość, to chociaż zdobądźcie się na cynizm, na którym można zarobić.*

Leon Tarasewicz w apelu do nauczycieli, „Wiadomości Gródeckie – Haradockija Nawiny", 20 września – 19 października 1996 r.

■ *Przed drugą wojną światową Białystok zamieszkiwało 60 proc. Żydów. Zdążyliśmy poznać ich kłamstwa w sądach, oszukaństwa w handlu, wiarołomstwo i zdradę podczas okupacji niemieckiej i sowieckiej. Mimo tych obskurnych wad przyjęliśmy ich do Polskiej Ziemi Obiecanej, która była im prawdziwą Matką, bo żyli w Niej spokojnie, z nadzieją na lepsze jutro.*

Edward Kuśnierski, żołnierz Armii Krajowej, „Kurier Poranny", 10 października 1996 r.

■ *Mówienie, że w Mińsku mogą powtórzyć się wypadki z października 1996 r. w Moskwie — bombardowanie parlamentu, aresztowania deputowanych — to są brednie chorego człowieka.*

Aleksander Łukaszenka dla telewizyjnej „Panaramy", po spotkaniu z Borysem Jelcynem, 11 października 1996r.

■ *W Białymstoku mamy pełnomocnika, który, jak każdy urzędnik, zaczyna mnożyć problemy i narodowości. Mało Białorusinów i Ukraińców, to powstają Rosjanie i Stowarzyszenia Jaćwingów. Ja rozumiem, że im więcej mniejszości, tym większe uzasadnienie etatu. Ale dochodzi do swoistego kabaretu.*

Sokrat Janowicz, w czasie III Spotkań Mniejszości Narodowych w Puńsku, „Kurier Poranny", 21 października 1996 r.

■ *UOP był obiektem wielu agresywnych akcji ze strony służb rosyjskich, ukraińskich, białoruskich. Nasza reakcja była najczęściej taka: nie prowokować bez potrzeby, tylko obserwować i uniemożliwiać działanie. Aby to było skuteczne, szczególnie kiedy nasz wywiad jest sparaliżowany, potrzebujemy wiedzy o tym, co tu się działo przez ostatnie 25 lat. Kim i czym KGB się interesował w Polsce i do jakich spraw potrzebował pomocy SB?*

Krzysztof Bondaryk, były szef delegatury UOP w Białymstoku, „Gazeta Wyborcza", 22 października 1996 r.

■ *Ustępstwo Łukaszenki można tłumaczyć niechęcią Zachodu i Rosji wobec jego poczynań. Zwołane przez Łukaszenkę zgromadzenie, na które przybyli zwolennicy prezydenta, poparło jednak jego politykę i dążenie do uzyskania de facto dyktatorskich uprawnień.*

„Wprost", 27 października 1996 r.

■ *Tryumf jubileuszu, akcentowany w tym roku donośnie przez Kościół katolicki, przedstawiany jest wyjątkowo jednostronnie. — Unia, która miała zjednywać, skutecznie podzieliła Kościoły i wiernych. Dzisiaj, wykorzystując swą przewagę w Polsce, Kościół rzymski podkreśla jedynie ofiarę unitów. Tymczasem konsekwencją 1596 r. były również liczne prześladowania prawosławnych, a ich przykładem los św. Atanazego brzeskiego.*

O. Aleksy Andrejuk, „Rzeczpospolita", 28 października 1996 r.

■ *To, że nie ma niezależnego i demokratycznego państwa białoruskiego, to propaganda komunistów. Większość obywateli Białorusi widzi potrzebę jego istnienia. Nasz prezydent czerpie siłę z poprzednich 200 lat Białorusi, istniejącej nie jako samodzielne państwo, ale część Rosji. Mamy jednak u siebie tzw. piątą kolumnę, dla której Białoruś nie istnieje, a język białoruski jest tylko odmianą rosyjskiego. To oni popierają Łukaszenkę, jak też i ci, którzy boją się, że mogą stracić swoją pozycję.*

Stanisław Szuszkiewicz, były przewodniczący Rady Najwyższej Republiki Białoruś, deputowany obecnej kadencji, „Kurier Poranny", 28 października 1996 r.

■ *TIR-y — potężne szosowe bestie mkną po naszych drogach, niszcząc je, spać nie dają. Są to duże pojazdy, jeżdżą z szaloną prędkością i zagrażają życiu. Nasze drogi są rozbijane i niszczone przeważnie pod osłoną nocy.*

„Echo Michałowa", październik 1996 r.

■ *Język polskiego społeczeństwa jest nacechowany agresją, przekleństwem, lubowaniem się w słowach wulgarnych i dawaniem wyrazu wzajemnej niechęci. Będący wyrazem kultury przyjazny stosunek do drugiego człowieka nie manifestuje się u nas w nadmiarze.*

„Wiadomości Kulturalne", 3 listopada 1996 r.

■ *Wicemarszałek Senatu Stefan Jurczuk, choć sam mocno wierzący i praktykujący, ma dziś wątpliwości, czy realizując większość inwestycji na Wschodzie wspólnie z proboszczami (rzymskokatolickimi — red.) nie zrażamy środowisk prawosławnych.*

Z artykułu o działalności Wspólnoty Polskiej, „Polityka", 2 listopada 1996 r.

Zdjęcie na okładce: W redakcji „Swabody" w Mińsku Fot. Jerzy Osiennik

Postępuję słusznie



Jan Syczewski, ur. w 1937 r. w Strykach k. Bielska Podlaskiego. Ukończył studia pedagogiczne na Uniwersytecie Gdańskim. Był kierownikiem klubu związków zawodowych w Białymstoku, od 1970 r. pracuje na Politechnice Białostockiej. W 1992 r. został przewodniczącym Białoruskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego. Żonaty, córka jest studentką Akademii Medycznej.

Jan Syczewski, przewodniczący Białoruskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego, odwiedził naszą redakcję tuż po powrocie z Republiki Białoruś, gdzie 19 października uczestniczył w tzw. Ogólnonarodowym Zebraniu Białoruskim, zwołanym w Mińsku przez prezydenta Aleksandra Łukaszenkę. Naszego gościa zaprosiliśmy, aby zapytać o kulisy tej wizyty, w Polsce odebranej ze zdziwieniem. Rozmawialiśmy również o swoich problemach — zagrożeniach dla kultury białoruskiej i uwarunkowaniach politycznych naszej społeczności.

Jerzy Chmielewski: — Ostatnio bardzo często bywa Pan w Mińsku. Na początku października uczestnicy II Konferencji Naukowo-Praktycznej „Kultura i edukacja Białorusinów z zagranicy" usłyszeli, że Białoruskie Towarzystwo Społeczno-Kulturalne bardzo troszczy się o zachowanie odrębności narodowej polskich Białorusinów i rozwój ich ojczystej kultury. I oto po dwóch tygodniach pojawia się Pan w zgoła odmiennym środowisku, uczestnicząc w tzw. Ogólnonarodowym Zebraniu Białoruskim, którego klimat raczej nie sprzyja ojczystej kulturze i odrodzeniu narodowemu. Spotkało się to nawet z oburzeniem honorowego przewodniczącego BTSK, prof. Aleksandra Barszczewskiego.

Jan Syczewski: — W czasie konferencji naukowej, organizowanej przez „Baćkauszczynę", rzeczywiście mówiłem, że Białoruskie Towarzystwo Społeczno-Kulturalne ma bardzo istotne zasługi dla kultury białoruskiej w Polsce. Na przestrzeni czterdziestolecia zajmowało się bowiem — na ile mogło — jej kultywowaniem. Podkreśliłem też zasługi dawnych działaczy. Myślę, że do chwili obecnej Towarzystwo Białoruskie ma najszczersze intencje, aby organizować, prowadzić, rozszerzać naszą oświatę, kulturę i białoruski ruch wydawniczy. Podczas posiedzenia Wielkiej Rady „Baćkauszczyny" pojawiły się kontrowersyjne stanowiska wobec „Usiebiełaruskaha narodnaha schodu", organizowanego przez prezydenta Aleksandra Łukaszenkę. Wielka Rada zdecydowanie sprzeciwiła się łamaniu prawa przez prezydenta, wysyłając mu stosowne oświadczenie. Wtedy miałem też okazję spotkać się z profesorem Aleksandrem Barszczewskim i wspólnie te sprawy przedyskutować. Rozmawialiśmy o ewentualnym wyjeździe na ten „schod" chociażby z tego względu, że na posiedzeniu Wielkiej Rady był obecny przewodniczący towarzystwa „Drużba", organizacji działającej w Białorusi od pierwszych lat powojennych, której zadaniem jest współpraca z Białorusinami z różnych krajów. Szef „Drużby", w imieniu komitetu organizacyjnego, zaprosił przedstawicieli białoruskich organizacji z zagranicy na obrady prezydenckiego „schodu".

Już po powrocie do Białegostoku miałem kilka telefonów z „Radzimy" oraz wspomnianej „Drużby", a także z Administracji Prezydenta — dowiedziałem się, że mam otrzymać oficjalne pisemne zaproszenie na „Usiebiełaruski narodny schod". Moje oświadczenie o rezygnacji z zaproszenia byłoby nieeleganckie i wręcz nieetyczne. Z rozmów z przedstawicielami władz dowiedziałem się, że „schod" nie jest wyłącznie inicjatywą Łukaszenki. Oprócz delegatów wezmą w nim udział przedstawiciele wszystkich organów władzy — deputowani do Rady Najwyższej (jak się później okazało, było ich tam ponad 50 proc.), premier, wicepremierzy i ministrowie. Ze względu na ścisłą współpracę BTSK z władzami Republiki Białoruś, w szczególności z rządem, postanowiłem z zaproszenia skorzystać. Moje wewnętrzne przekonanie mówi mi, że Białoruskie Towarzystwo Społeczno-Kulturalne nie może pozostawać obojętne czy też lekceważąco odnosić się wobec centralnych władz RB. Pytałem też, czy mój wyjazd nie zostanie zinterpretowany jako wyraz postawy politycznej, mającej na celu poparcie dla prezydenta Łukaszenki. Nie do mnie należy ocena działań prezydenta, jak też władz centralnych. Do tego predystynowany i uprawniony jest naród białoruski. Zapewniono mnie, że ten wyjazd będzie miał charakter czysto obserwacyjny. Ponadto powiedziano, że odmowa może zostać źle odczytana przez premiera, wicepremiera, a także ministrów, z którymi na co dzień współpracuję. W tej sytuacji zupełnie świadomie i odpowiedzialnie podjąłem decyzję o wyjeździe. Nie było już czasu na zwoływanie prezydium, by to skonsultować. Jako przewodniczący mam prawo do pewnej samodzielności. Nie po to nim jestem, aby każdy swój krok konsultować z innymi. W związku z tym wziąłem odpowiedzialność na siebie i postanowiłem pojechać. Nie po to, żeby uczestniczyć w politycznej imprezie, ale po to — jak mi radzono — żeby z bliska przyjrzeć się sprawom białoruskiej gospodarki i polityki. Miałem okazję widzieć z bliska

demonstrację uliczną, w której nie uczestniczyłem i miałem okazję widzieć zjazd, w którym też nie uczestniczyłem jako delegat lub działacz polityczny, ale jako obserwator.

Jerzy Sulżyk: — Jak silna była presja tego wyjazdu?

J.S.: — Żadnej presji nie odczułem, ale odmowa wyjazdu mogłaby być odczytana przez władze Białorusi jako wyraz negatywnego stosunku do nich ze strony BTSK, co mogłoby się odbić niekorzystnie na naszej współpracy w zakresie budowy Muzeum Białoruskiego w Hajnówce, rozwoju oświaty, rekrutacji na studia, udziału w naszych przedsięwzięciach wielu zespołów artystycznych z Republiki Białoruś.

Jerzy Kalina: — Jan Zieniuk, dyrektor Centrum Kształcenia Nauczycieli w Białymstoku, powiedział niedawno, że pomoc naszym placówkom oświatowym ze strony rządu białoruskiego praktycznie nie istnieje. Ustały na przykład dostawy prasy do szkół, w których nauczany jest język białoruski. Czy wsparcie ze strony RB jest więc znaczące?

J.S.: — Mogę mówić wyłącznie o tych zakresach działalności, które są związane z realizacją celów statutowych Białoruskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego. Na ile mi wiadomo, dwa lata temu szkoły w Polsce otrzymały z Białorusi nieodpłatnie 23 tysiące egzemplarzy książek i podręczników do liceów i podstawówek. Po wielu staraniach udało się nam zdobyć prasę dla szkół. Co roku jest też możliwość wyjazdu na kurs doskonalenia nauczycieli do Mińska, który w całości finansuje Ministerstwo Edukacji i Nauki RB. Może w nim uczestniczyć nieograniczona liczba osób. Niestety, mimo naszych starań, jeździ tam tylko kilku lub kilkunastu nauczycieli.

Ilekroć zachodzi potrzeba sprowadzenia do nas pisarza, poety, działacza kultury — białoruskie ministerstwa zawsze nam pomagają. Dzięki Ministerstwu Kultury możliwe jest wydawanie kalendarza. Duże znaczenie ma też coroczna rekrutacja 30-40 absolwentów liceów ogólnokształcących w Bielsku Podlaskim i Hajnówce na studia w Białorusi. Tamtejsze władze okazują istotną pomoc w budowie Muzeum Białoruskiego w Hajnówce. Zdajemy jednak sobie sprawę, że zbyt wiele od Republiki Białoruś wymagać nie możemy — jest to przecież państwo biedne.

J.K.: — Profesor Aleksander Barszczewski w wypowiedzi radiowej decyzję o uczestniczeniu Pana w mińskim zjeździe nazwał samowolą. Honorowy przewodniczący nie widzi też możliwości współpracy BTSK z otoczeniem Aleksandra Łukaszenki.

J.S.: — Niewątpliwie była to decyzja podjęta wyłącznie przeze mnie, ponieważ nie było czasu na konsultacje z prezydium. Bardzo często zdarzają się takie sytuacje w życiu każdej organizacji, kiedy przewodniczący musi samodzielnie podejmować decyzje i na siebie brać za nie odpowiedzialność. Barszczewskiemu racji nie przyznaję, gdyż występuje on jako sędzia w imieniu całego Towarzystwa. Jego sąd na ten temat jest bardzo ekstremalny i niesprawiedliwy. On uważa, że nie powinniśmy utrzymywać kontaktów nie tylko z prezydentem, ale z całą jego administracją. Barszczewski stawia tylko na parlament. To jest po prostu absurd! Kontakty z Radą Najwyższą mogą mieć charakter wyłącznie polityczny, a nam polityka nie jest do niczego potrzebna. Parlament nie załatwi przecież miejsc na uczelniach, książek dla naszych szkół i budowy muzeum.

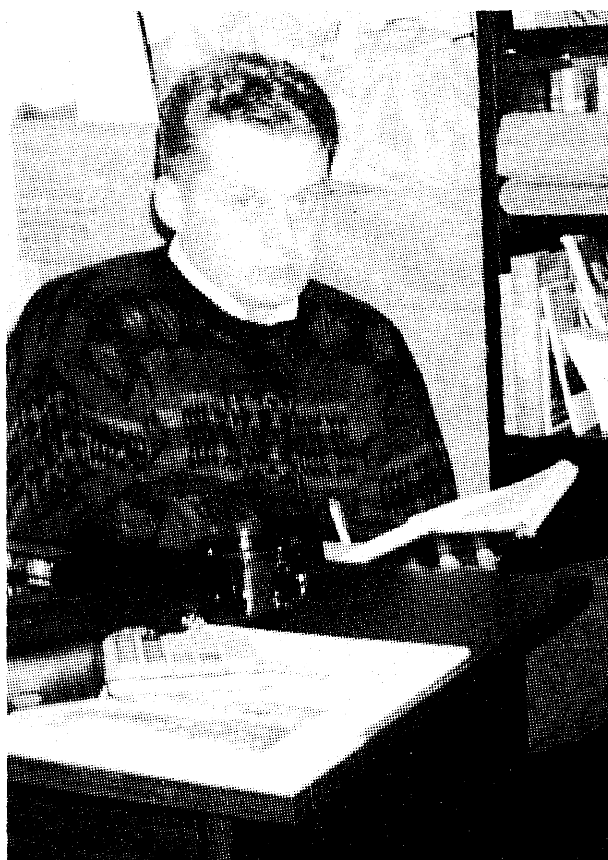
J.K.: — W białostockiej prasie pojawiły się informacje, że Aleksander Łukaszenka powitał Pana jako przedstawiciela mniejszości białoruskiej w Polsce. Jak to było z tym witaniem?

J.S.: — Nieprawda. Prezydent witał po rosyjsku i powiedział dokładnie tak: „Priwietstwuju Syczewskawa Jana Janawicza, priedsiedatiela Kulturna-preswititielnawa Biełaruskawa Tawariszczestwa w Biełastokie". Do głowy mi nie przyszło, że prezydent będzie mnie witał. Myślałem, że będę marginalnym gościem, siedzącym w kąciku i słuchającym. Było trochę inaczej, ale ja na to wpływu nie miałem. Mogę przypuszczać, że jest to jedynie wyraz autorytetu, którym cieszy się nasza organizacja u przedstawicieli władz centralnych RB, jako że osobiście prezydent mnie nie zna.

J.Ch.: — Jak się zatem mają deklaracje o apolityczności Towarzystwa Białoruskiego do udziału jego przewodniczą-



Jerzy Sulżyk: — Samorządy gminne, będące dotąd współorganizatorami festynów, rezygnują ze współpracy z BTSK, przeprowadzając imprezy samodzielnie. Tak stało się w Bielsku Podlaskim, podobne sygnały docierają z Gródka.



Jerzy Kalina: — W białostockiej prasie pojawiły się informacje, że Aleksander Łukaszenka powitał Pana jako przedstawiciela mniejszości białoruskiej. Aleksander Barszczewski nie widzi możliwości współpracy BTSK z otoczeniem prezydenta.



Jerzy Chmielewski: — Jadąc na „schod" musiał się Pan liczyć z tym, że środowiska niepodległościowe ocenią to bardzo krytycznie. Jak można kontaktować się z kimś, kto depcze najwyższe wartości narodowe?

cego w „Usiebiełaruskim schodzie", imprezie typowo politycznej?

J.S.: — Uczestnictwo w roli obserwatora w imprezie politycznej nie jest tożsame z przyjmowaniem na siebie jakiejś opcji politycznej.

J.Ch.: — Jadąc 19 października na „schod" musiał się Pan liczyć z tym, że środowiska niepodległościowe w Republice Białoruś oraz popierające je organizacje na Białostocczyźnie ocenią to bardzo krytycznie. Jak można kontaktować się z kimś, kto depcze najwyższe wartości narodowe?

J.S.: — Przypodobać się wszystkim jest niezwykle trudno. Tu nasuwają mi się słowa Jacka Kuronia, który powiedział, że jeśli ktoś chce się wszystkim podobać, to niech gra w orkiestrze. Ja nie mam talentu do instrumentów muzycznych, ale uważam, że jeśli jest się przewodniczącym organizacji społecznej, to przede wszystkim powinno się wykonywać te cele statutowe, które są istotne dla społeczności, której chce się służyć. Te cele staram się możliwie najlepiej wykonywać. Dlatego uważam, że tamten wyjazd był niezbędny.

J.Ch.: — Białoruskie Towarzystwo z politykami zwykło mieć przyjazne kontakty także na Białostocczyźnie. Mam na myśli systematyczną obecność posłów Sojuszu Lewicy Demokratycznej na festynach ludowych i innych imprezach organizowanych przez BTSK. Pojawiły się opinie, że tym sposobem SLD zabiega o sympatie wyborcze, a BTSK funduje mu bezpłatną kampanię.

J.S.: — Z tym poglądem w całości się nie zgadzam. To prawda, że bardzo nam zależy na uczestnictwie w tych imprezach przedstawicieli samorządów lokalnych, władz państwowych i organów ustawodawczych. Dlatego na początku sezonu artystycznego wysłaliśmy zaproszenia na wszystkie letnie festyny władzom województwa i wszystkim posłom Ziemi Białostockiej. Ilekroć bywają oni na naszych imprezach, uważamy za swój obowiązek przywitać ich jak dostojnych gości i zwykle to czynimy, bez względu na to, jaką opcję polityczną reprezentują. Nie rozumiem więc, skąd się bierze ta alergia na posłów Sojuszu Lewicy Demokratycznej, skoro zostali oni wybrani w demokratycznych wyborach, a cała nasza „kampania" wyborcza sprowadza się jedynie do ich przywitania, jako oficjalnych gości. Z naszej strony nie było żadnych działań mających na celu reklamę i popularyzację tych posłów.

J.K.: — Jednak w czasie Święta Kultury Białoruskiej w czerwcu 1995 roku w białostockim amfiteatrze zbierano podpisy pod kandydaturą Aleksandra Kwaśniewskiego.

J.S.: — Być może robił to komitet wyborczy bez naszej wiedzy. BTSK w tym nie uczestniczyło.

J.Sul.: — Te rzekome akcenty polityczne spowodowały, że samorządy gminne, będące dotąd współorganizatorami festynów, rezygnują ze współpracy z BTSK. Przeprowadzają imprezy samodzielnie. Tak stało się w Bielsku Podlaskim, podobne sygnały docierają z Gródka. Jak Pan to odbiera?

J.S.: — Zapotrzebowanie na letnie festyny jest tak duże, że nie możemy się „wyrobić". Ten rok był rekordowy — przeprowadziliśmy aż 22 festyny. W kilku przypadkach musieliśmy odmówić, nie byliśmy w stanie sprostać zapotrzebowaniu. Nic nie wskazuje na to, że w wyniku tzw. „odchodzenia" niektórych gmin zmaleje liczba festynów, organizowanych przez BTSK. Bielsk Podlaski i Gródek nie przesądzają o spadku naszej popularności. Pozostałe samorządy lokalne są bardzo zadowolone. Przypadek Gródka bardzo mnie dziwi. Miałem do czynienia z histeryczną, szokującą wręcz, reakcją Leona Tarasewicza, kiedy na widowni pojawili się posłowie SLD. Wszczął on coś w rodzaju awantury ze mną. Nie mogłem ulec jego żądaniom i oznajmiłem, że tak jak zawsze, przywitam oficjalnych gości. Tak też zrobiłem, co stało się przyczyną konfliktu. Zostało to później opisane w „Haradockich Nawinach". Padły tam nawet tak absurdalne zarzuty, że impreza nie była uzgodniona z Białoruskim Zjednoczeniem Demokratycznym, jakby to były dawne czasy, kiedy o wszystkim decydowała rządząca partia. Festyn w Gródku był organizowany wspólnie z Zarządem Gminy i miejscowym Gminnym Ośrodkiem Kultury, czego wyrazem było wspólne otwarcie imprezy przez przewodniczącego rady gminy i przewodniczącego BTSK. Żadnych zarzutów miejscowe władze pod naszym adresem nie wysunęły. Jaką władzą jest zatem Leon Tarasewicz i w czyim imieniu występuje? Uważam, że każdy samorząd ma prawo do kultywowania kultury i organizowania imprez w sposób, jaki uważa za stosowny.

W Bielsku Podlaskim też powstała dziwna sytuacja. W tym mieście nasz festyn nigdy nie był źle przyjmowany. Władze postanowiły robić nieco inną imprezę, przyjmując w rzeczywistości podobną koncepcję, która okazała się uboższa w treści — było mniej zespołów z zewnątrz. Główną atrakcją bielskiej imprezy był zespół „Lawony" z Woronowa, sprowadzony z Białorusi przez Zarząd Główny BTSK. Bielski pomysł odebrałem jako chęć wytrącenia inicjatywy Białoruskiemu Towarzystwu i zorganizowania festynu siłami wszystkich stowarzyszeń, co miało prowadzić do pojednania środowiska. Mam jednak poważne wątpliwości, czy władzom Bielska to się udało.

J.Ch.: — Bardzo Pan ubolewał nad stosunkami między BTSK i organizacjami skupionymi w Związku Białoruskim w RP w wywiadzie udzielonym „Czasopisowi" półtora roku temu. Czy od tej pory coś się zmieniło?

J.S.: — Generalnie nic się nie zmieniło. Tylko w nielicznych, pojedynczych przypadkach te stosunki się poprawiły. Wciąż są przejawy niechęci, a niejednokrotnie nawet nienawiści do BTSK ze strony innych organizacji białoruskich. Odczuwam to również na sobie. Nie wiem, czym jest to wywołane. Mógłbym podać przykłady imienne, ale nie chcę tego czynić. Na łamach „Niwy" nadal zauważam ignorowanie naszej działalności i, co gorsza, demonstrowanie nienawiści do Towarzystwa. Prawie w każdym numerze pojawiają się brzydkie, uszczypliwe uwagi o nas — jeśli nie w tekstach Michała Kuptela, to w wypowiedziach redaktora naczelnego. Nie wiem, czemu to ma służyć. Ta prymitywna nagonka jest przecież po prostu niesmaczna. Na podobne „komedie" nie będę odpowiadał, nie na tym poziomie powinniśmy się „bawić".

J.Ch.: — Ta niezgoda, często sztucznie rozdmuchiwana, szkodzi nam wszystkim. Wykorzystują ją inni. Czy tak być musi?

J.S.: — Rzeczywiście, osoby z zewnątrz z tego się tylko cieszą. Sam nie wiem, po co te „igrzyska".

J.Ch.: — Sposobem na zgodę miało być Centrum Kultury Białoruskiej, którego swego czasu był Pan zwolennikiem.

Dana Panu przez Związek Białoruski w RP inicjatywa w tej sprawie stanęła jednak w martwym punkcie. Dlaczego?

J.S.: — Obecnie nie widzę możliwości powołania takiej placówki ze względu na brak funduszy. Nic nie wskazuje na to, że w budżecie państwa znajdą się środki na kilkanaście czy kilkadziesiąt etatów, siedzibę i działalność merytoryczną. Zminimalizowanie tej koncepcji do obecnej bazy poszczególnych organizacji i zapoczątkowanie Centrum w budynku przy ul. Warszawskiej 11, co proponuje ostatnio Związek Białoruski, nie ma sensu, ponieważ ten pomysł nie wniesie nowych wartości do kultury. Urzeczywistnienie tej idei będzie zależało od polityki polskiego rządu.

J.Ch.: — Które z ugrupowań politycznych najbardziej sprzyja interesom polskich Białorusinów?

J.S.: — Jest to bardzo trudne pytanie. Mogę odpowiedzieć na nie tylko w odniesieniu do Białoruskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego. Gdyby trzy lata temu nie zmienił się rządzący układ polityczny, nasza organizacja nie miałaby żadnych szans prowadzenia takiej działalności jak obecnie. Wtedy dofinansowanie naszych przedsięwzięć w sposób dyskryminacyjny z roku na rok spadało. Traktowanie potrzeb BTSK przez obecny rząd oceniam jako przyzwoite. Natomiast inne ugrupowania jest mi bardzo trudno osądzać, gdyż nie mam rozeznania, jaki jest lub może być wpływ poszczególnych orientacji politycznych na działania centralne odnośnie naszej mniejszości.

J.K.: — Gdyby przed najbliższymi wyborami parlamentarnymi jakieś ugrupowanie, np. Sojusz Lewicy Demokratycznej, zaproponowało Panu dobre miejsce na swej liście, zgodziłby się Pan?

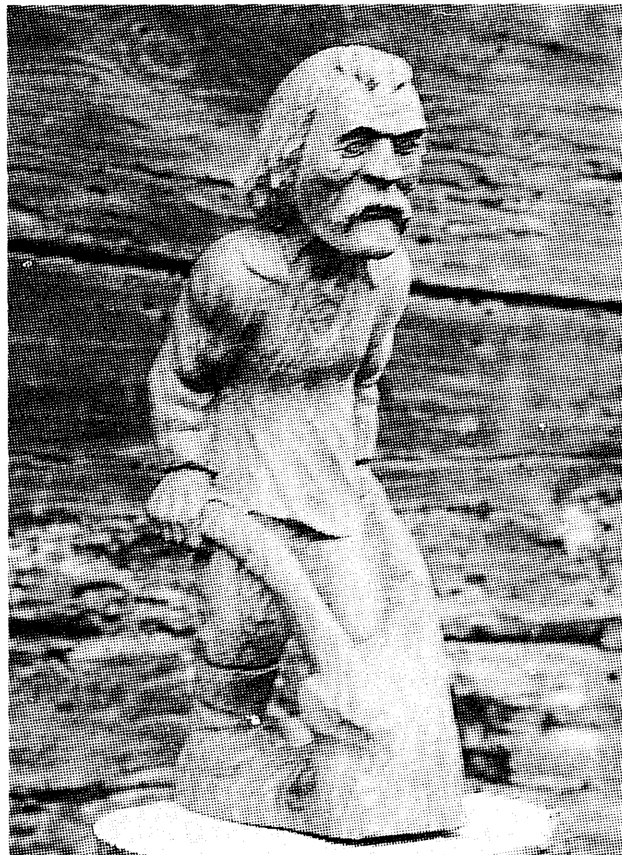
J.S.: — W tej chwili na to pytanie nie jestem w stanie odpowiedzieć. Jest to sprawa poważna, wymagająca przemyśleń z punktu widzenia życia politycznego i prywatnego, a także zajęcia stanowiska BTSK w tej sprawie. Pociągałoby to za sobą wielką odpowiedzialność i zaangażowanie społeczne. Dotychczas takich propozycji nie miałem.

oprac. (jc)

Fot. Redakcja

Na życzenie przewodniczącego Jana Syczewskiego rozmowa była prowadzona w języku polskim.

ЛІСТАПАД



„Я мужык-беларус,
Пан касы і сахі...”

Разьба па дрэву Уладзіміра Наўмюка з Канюкоў

...гадоў таму

655 — 1341 г. Войска Старабеларускай дзяржавы (Вялікага княства Літоўскага) акружылі крыжацкую цвердзь Баербург і прыступілі да яе здабыцця. Падчас атакі загінуў вялікі князь Гедымін — адзін з галоўных творцаў магутнасці Вялікага княства.

615 — 1381 г. Дружыны Старабеларускай дзяржавы (Вялікага княства Літоўскага) пад кіраўніцтвам вялікіх князёў Кейстута і Вітаўта здабываюць крыжацкую цвердзь Астэродэ (сённяшнюю Аструду) ў Прусіі.

385 — 4 лістапада 1661 г. пад вёскай Кушчлікі на Полаччыне прайшоў апошні бой трагічнага „патопу” на беларускіх землях, які забраў амаль палову насельніцтва Беларусі.

180 — 4.11.1816 г. нар. Арцём Вярыга-Дарэўскі (пам. у 1884 г.), пісьменнік, сябра У. Сыракомлі, В. Дуніна-Марцінкевіча, удзельнік паўстання 1863-1864, памёр у ссылцы. Творы: паэма „Ахульга”, драма „Гордасць”, камедыі „Хцівасць”, „Грэх 4-ты — гнеў”, пераклаў „Конрада Валенрода” А. Міцкевіча на беларускую мову, аўтар верашаў, артыкулаў.

160 — 2.11.1836 г. нар. Міхал Андрыёлі (пам. 28.08.1893 г.), жывапісец, вучыўся ў Маскве і Рыме, удзельнік паўстання 1883-1864 г., на ссылцы быў настаўнікам вядомых расейскіх мастакоў В. і А. Васняцовых, жыў і працаваў у Варшаве і Парыжы, сябраваў з Ф. Багушэвічам, карціны: „Смерць Кейстута”, „Гусляр”, ілюстрацыі „Пана Тадэвуша”, „Конрада Валенрода” А. Міцкевіча, Твораў Я. Ходзькі, У. Сыракомлі, Э. Ажэшка.

125 — 23.11.1871 г. нар. Уладзімір Тэраўскі (пам. 10.11.1938 г.), кампазітар, дырыжор, фалькларыст, супрацоўнічаў з Купалаўскім тэатрам — музыка да спектакляў: „Паўлінка”, „Адвечная песня” „Сон на кургане” (1921) Я. Купалы і на вершы паэта, склаў спеўнікі „Беларускі спеўнік” (1921), „Беларускі лірнік” (1922), песні, рамансы.

100 — 7.11.1896 г. нар. Міхась Чарот (сапр. Міхась Кудзелька, расстраляны НКУСаўцамі 20.10.1937 г.), адзін з самых таленавітых беларускіх пісьменнікаў, партызан падчас вайны з войскамі Ю. Пілсудскага. Друкавацца пачаў у 1919 г., выдаў некалькі зборнікаў паэзіі і прозы. Паэмы „Босыя на вогнішчы” (1922), „Карчма”, „Марына” (абедзве 1926), п'есы „Мікітаў лапаць” (1923), „Дажынкі”, „Сон на балоце” (абедзве 1924), музычная драма „На Купалле” (1921) — па ёй кампазітар А. Туранкоў стварыў оперу „Кветка шчасця” (1982), аповесць „Свінапас” экранізаваў Ю. Тарыч на першы мастацкі беларускі фільм „Лясная быль”.

95 — 20.11.1901 г. нар. Міхась Зарэцкі (расстраляны НКУСаўцамі 29.10.1937 г.), друкаваўся з 1922 г., аповесць „Голы звер” (1926), раманы

„Сцежкі-дарожкі” (1928), „Вязьмо” (1932), п’есы „Сымон Карызна” (1935), „Ная” (1936), апавяданні, нарысы, пераклады.

90 — 7.11.1906 г. нар. Міхась Кацар, гісторык мастацтва, педагог, кнігі: „Беларуская савецкая скульптура” (1954), „Беларуская літаратура” (1956), „Нарысы па гісторыі выяўленчага мастацтва Савецкай Беларусі” (1960), „Народна-прыкладное мастацтва Беларусі” (1972), артыкулы.

— **23.11.1906 г. выйшаў першы нумар „Нашай Нівы” (апошні — 20.08.1915 г.), штотыднёвай газеты, якая адыграла вядучую ролю ў адраджэнні і сфармаванні беларускага нацыянальнага руху, новай беларускай літаратуры, публіцыстыкі.**

85 — 23.11.1911 г. нар. Аляксандр Апанасенка, балетмайстар, кіраўнік Дзяржаўнага ансамбля танца Беларусі, стваральнік новых сцэнічных варыянтаў беларускіх народных танцаў „Лянок”, „Лявоніха”, „Мяцеліца” і інш.

75 — 23.11.1921. нар. Віктар Роўда, харавы дырыжор і педагог, знаўца духоўных праваслаўных спеваў, кіраўнік Мінскага мітрапалічнага хору, лаўрэат многіх узнагарод, удзельнік і лаўрэат Гайнаўскага фестываля праваслаўнай музыкі.

65 — 18.11.1931 г. нар. Анатоль Вярцінскі, паэт, друкуецца з 1954 г., выдаў некалькі кніг паэзіі, кнігу публіцыстыкі, некалькі п’ес для дзяцей, вядомы грамадскі дзеяч, выступаў на Беласточчыне.

— 23.11.1931 г. нар. Галіна Маркіна (пам. 27.10.1985 г.), актрыса, на сцэне з 1956 г., спачатку ў Брэсце, потым у Мінску, уканцы ў Віцебску, ролі: Савіч, Яўгенія, Марозава (паводле „Сэрца на далоні”, „Выгнанне блудніцы”, „Крыніцы” І. Шамякіна), Зубрыч („Трывога” А. Петрашкевіча), у класічным рэпертуары.

60 — 19.11. 1936 г. нар. Эрнест Ялугін, пісьменнік, у друку выступае з 1955 г., аповесці „Камяні Млечнага Шляху” (1969), „Апошні князь” (1986), „Сіндбад астаецца” (1988), нарысы, эсэ, сцэнарыі дакументальных фільмаў.

55 — 8.11.1941 г. нар. у Візне, на Беласточчыне, Аляксандр Сурмач (пам. 28.09.1985 г.), мастак, у выстаўках удзельнічаў з 1972 г., майстар мастацкай керамікі, працы: кампазіцыя „Поры года” (1978), рэльеф „Музыка” (1984), камплект блюд для рэстарана „Гродна” ў Беластоку (большасць пакрадзена наведвальнікамі), стварыў болей за 200 адметных узораў керамічных вырабаў.

(мг)

Фота Міколы Гайдука



Дзяўчына

Разьба па дрэву Уладзіміра Наўмюка з Канюкоў

З нагоды 14 студзеня 1906 г. у Крынках

Дзякуючы ветлівасці прафесара Ўладзіміра Гніламёдава з Менску, атрымалі мы выпіску з „Нашай Нівы” ад 20 лістапада 1908 г., якая датычыць бунту рабочых у Крынках 14 студзеня 1906 г.

Гродзенскі губернскі суд разбіраў тады справу аб бунце, у сувязі з якім абвінавачаных было трыццаць пяць чалавек. Вінавацілі іх у тым, што разбілі яны пошту, валасную ўправу, манапольны магазін, гарадскую ўправу, дом прыстава і дом жандарскага вахмістра. Знішчожылі знойдзеную дакументацыю, тэлеграфныя апараты, спілоўвалі тэлеграфныя слупы і рвалі драты, што злучалі Крынкі з іншымі гарадамі і мястэчкамі. Вінавацілі іх яшчэ ў тым, што яны адбіралі стрэльбы ад тутэйшых функцыянераў улады, а пасля нават стралялі ў іх.

Да бунту далучылася каля двух тысяч чалавек.

Прысудзілі пяцёх у арыштанцкія роты, адабраўшы ўсе правы; дзесяцёх — на васемнаццаць месяцаў у турму, а рэшту апраўдалі. Апрача таго, прысудзілі з іх узяць пяцьсот тысяч рублёў за тыя шкоды, што зрабілі на пошце.

Столькі паведаміла тадышняя „Наша Ніва”. Чытаючы гэта — смех бярэ з таго царскага суду! Не дзіва, што жменька бальшавікоў потым перакінула ўверх нагамі ўсю Расею. Каб так за сталінскім часам учынілі рабацягі падобны бунт, дык не толькі апраўдаў бы савецкі суд палову абвінавачаных, але ўсе яны не дажылі б заўтрашняга дня. А тыя дзве тысячы загрукацелі б кайданамі на сібірскую Калыму, і не на камічныя васемнаццаць месяцаў — да смерці гнілі б у калымскіх шахтах золата!

Трагедыя Расеі ў тым, што яе надзвычай бурлівае тады развіццё перапынілі менавіта бальшавікі, пераўтварыўшы імперыю ў гіганцкі вайсковы лагер дзеля заваявання ўсяго свету. Расейская гаспадарка ўпачатку нашага веку разгортвалася ўтрая хутчэй за амерыканскую, а царскі рубель быў самай моцнай валютай, за якою ўсе ганяліся, як цяпер за доларам. Не будзь марнатраўнага камунізму, сёння Расея дамінавала б. Камунізм зрабіў з яе ваенную моц, здольную ў дваццаць разоў знішчожыць усю зямлю, але ў пяць разоў эканамічна слабейшую за Амерыку. Вось так, не больш і не менш.

Сакрат Яновіч

Пра „Нашу Ніву” чытайце на стар. 19.

■ REGION

Białowieża

● Obchodom 400-lecia osady i 75-lecia Białowieskiego Parku Narodowego towarzyszyło szereg wydarzeń. Otwarto m.in. nową oczyszczalnię ścieków i Ośrodek Edukacji Przyrodniczej. Wiceminister ochrony środowiska Stanisław Kujawiak udekorował naszego współpracownika, Piotra Bajko, odznaką „Zasłużony dla Leśnictwa i Przemysłu Drzewnego".

Białystok

● 28 września odbyło się spotkanie przedstawicieli organizacji mniejszości narodowych z pełnomocnikiem wojewody do spraw mniejszości, Sławomirem Halickim. Obecny był również Kazimierz Puciłowski, dyrektor oddziału Telewizji Polskiej S.A. w Białymstoku, który zadeklarował chęć współpracy z poszczególnymi organizacjami w zakresie wypracowania kształtu audycji telewizyjnych dla mniejszości. S. Halicki odczytał sprawozdanie z dotychczasowej działalności i omówił plany na przyszłość. W dyskusji przeważały pretensje do władz wojewódzkich i miejskich, które w niedostatecznym stopniu zajmują się problemami mniejszości.



Kazimierz Puciłowski i Sławomir Halicki 28 września w Urzędzie Wojewódzkim Fot. J. Kalina

● 20 studentów rozpoczęło zajęcia na pierwszym roku białorutenistyki w Instytucie Filologii Wschodniosłowiańskich Filii Uniwersytetu Warszawskiego. Ten kierunek studiów powstaje (z bólem) na białostockiej uczelni już od trzech lat. Ze względu na przeszkody formalne (niedostateczna kadra naukowa) wciąż nie ma określonego statusu. Obecnie wykładają tu naukowcy z Warszawy, Białegostoku i Republiki Białoruś — m.in. dr K. Lecka (historia literatury białoruskiej) i dr A. Mironowicz (historia Białorusi).

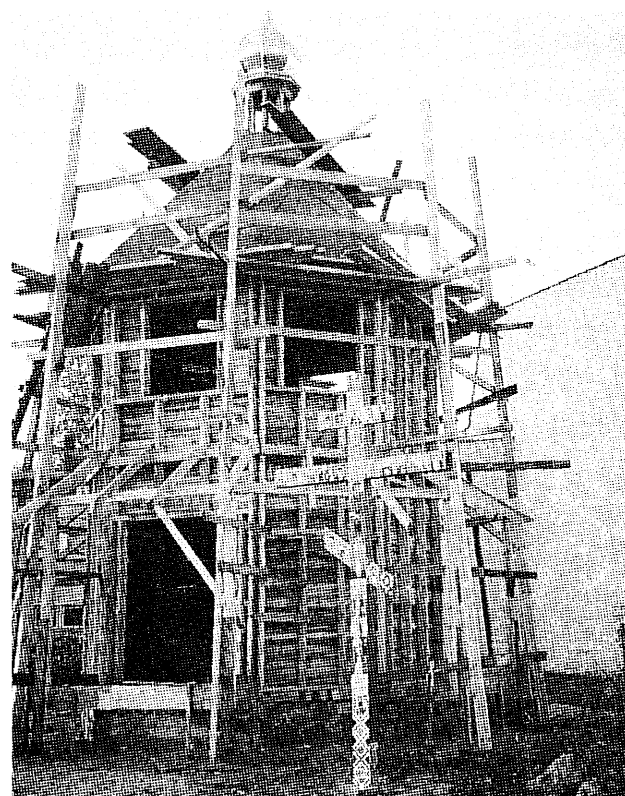
● 1 października w siedzibie „Niwy" odbyło się uroczyste podsumowanie konkursu dla nauczycieli języka białoruskiego, który redakcja zorganizowała w ubiegłym roku szkolnym. Jego celem było upowszechnianie nowych form dydaktycznych w nauczaniu języka ojczystego, proponowanych na łamach „Zorki". Najlepsze okazały się nauczycielki ze szkół w Narwi, Klejnikach, Bielsku Podlaskim (SP Nr 3), Nowym Korninie, Mochnatem i Kuraszewie.

● 5 października rozpoczął oficjalnie działalność Narwiański Park Narodowy — 22 w kraju, a czwarty w regionie północno-wschodnim. W inauguracji w Urzędzie Wojewódzkim w Białymstoku uczestniczyli premier Włodzimierz Cimoszewicz oraz minister ochrony środowiska Stanisław Żelichowski.

● Od 14 do 18 października przebywała w Białymstoku delegacja przedszkola nr 543 z Mińska. Goście przyjechali na zaproszenie dyrekcji Przedszkola Samorządowego Nr 14, w którym drugi rok działają oddziały białoruskie.

Bielsk Podlaski

● W dniach 12-13 października odbyła się konferencja naukowa poświęcona Jarosławowi Kostycewiczowi, pierwszemu dyrektorowi Liceum Ogólnokształcącego z białoruskim językiem nauczania im. Bronisława Taraszkiewicza. Organizator — Białoruskie Towarzystwo Historyczne — na zakończenie konferencji przygotował wycieczkę autokarową szlakiem pamięci J. Kostycewicza (Bielsk Podlaski — Orla — Dubicze Cerkiewne — Stary Kornin — Pasynki). Wzięły w niej udział również dzieci — uczestnicy



W ramach Spotkań „Zorki" białoruskie dzieci pomalowały w Bielsku już dwa krzyże. Pierwszy (na zdjęciu) stanął przed odbudowywaną kaplicą św. Mikołaja

Fot. J. Kalina

V Spotkań „Zorki", które pomalowały prawosławny krzyż, ustawiony przy domu pierwszego dyrektora białoruskiego liceum.

● Wieczorem 26 i 27 października w Bielskim Domu Kultury odbyły się koncerty III Festiwalu Białoruskiej Piosenki Autorskiej „Bardauskaja wosień". Wystąpiło 12 wykonawców, wśród nich — w charakterze gwiazd — Siarżuk Sokałau-Wojusz i Aleś Kamocki. Grand Prix i nagrodę Radia Białystok (sesja nagraniowa) zdobył Andrej Mielnikau z Homla. Pozostałe nagrody otrzymali: Siarżuk Minskiewicz („Waliły 2", ufundował Leon Tarasewicz), duet Emilka Ostapczuk i Tomasz Łukaszuk (ufundowało LO z bjn w Bielsku Podlaskim) oraz Lawon Wolski (ufundował komitet rodzicielski SP Nr 3 w Bielsku Podlaskim).



Zdobywca Grand Prix tegorocznej "Jesieni Bardów", Andrej Mielnikau z Homla

Fot. J. Osiennik

Gródek

● Rada Gminy podjęła uchwałę o nadaniu miejscowemu klubowi sportowemu nazwy „Hryf", nawiązując do historycznego gryfa z herbu Chodkiewiczów, niegdysiejszych właścicieli tych terenów. Burzliwe dyskusje wśród radnych dotyczyły sposobu zapisu nazwy — Gryf czy Hryf. Ostatecznie zwyciężyła wersja białoruskojęzyczna.

Hajnówka

● Po trzynastu latach budowy oddano do użytku szpital rejonowy. Będzie on obsługiwał mieszkańców Hajnówki i okolicznych gmin. W otwarciu uczestniczyli m.in. premier Włodzimierz Cimoszewicz i metropolita Bazyli.

● Negocjacje Społecznego Komitetu Budowy Muzeum Białoruskiego z władzami wojewódzkimi i centralnymi w sprawie upaństwowienia placówki stanęły w martwym punkcie. Sporne okazały się niektóre zapisy w przyszłym statucie, dotyczące zakresu własności. Brak kompromisu nie zezwala na wydzielenie na ten cel środków w budżecie państwa. Pieniędzy natomiast już brakuje, chociażby na ogrzanie budynku. Komitet wystosował wnioski o pomoc do niektórych samorządów lokalnych. Pozytywnie rozpatrzyła to m.in rada gminy w Gródku, przyznając muzeum 500 zł.



Szpital w Hajnówce budowano trzynaście lat

Fot. M. Wawrzeniuk

***

● Frekwencja w wyborach do izby rolniczej okazała się nie wystarczająca do jej powołania w naszym województwie. Na ponad 100 tys. uprawnionych głosowało zaledwie 17 tys. rolników. Najmniejszą frekwencję zanotowano w Siemiatyczach (2%), Orli (3,3%) i w Nurcu (3,8%).

Regionalia

Inwigilowani

Czy żelazną zasadą funkcjonowania państwa jest inwigilowanie swoich mniejszości narodowych? A może dotyczy to jedynie państw dyktatury proletariatu? Na czym polegają i czy zmieniają się metody „badania nastrojów" tych grup ludności — potencjalnie najbardziej prawdopodobnej V kolumny pod każdą szerokością geograficzną? Czy, a jeżeli tak, to kto zajmuje się kontrolowaniem sytuacji Białorusinów na Białostocczyźnie?

Zwolennicy spiskowej teorii dziejów na większość tych pytań z pewnością odpowiedzą twierdząco. Szkopuł w tym, że oprócz wewnętrznego przekonania, opartego na wnioskowaniu z milczeniem źródeł, trzeba jeszcze mieć dowody. A o te nie tak łatwo.

Udowadnianie, że Białorusini w Polsce Ludowej byli drobiazgowo kontrolowani przez komunistyczną policję polityczną nie ma sensu. Szpiegowano i donoszono na wszystkich co bardziej aktywnych obywateli PRL-u; wschodni słowiańscy bracia nie byli tu wyjątkiem. Panowie z SB nigdy ostentacyjnie nie interesowali się moją skromną osobą. Jeżeli jednak choć kilka procent tego, co opowiadają i piszą jednostki groźniejsze dla stabilności politycznej i jednolitonarodowego charakteru Polski Ludowej jest prawdą — to było ciężko.

Oprócz służb zawodowo zajmujących się tego typu działalnością, zdarzali się też amatorzy i to, co gorsza, nawet niedawni przyjaciele, a nawet bracia-Białorusini. Modelowy tego typu donos opublikowano w książce pt. „Białoruski ruch studencki w Polsce 1918-1992" (Białystok 1995). Na stronach 191 i 192 można zapoznać się z treścią listu wysłanego 29 marca 1989 roku przez młodego wówczas działacza jeszcze młodszego tzw. ruchu ukraińskiego na Podlasiu, którego adresatem był jeden z hierarchów Cerkwi prawosławnej w Polsce. Autor kłamliwie opisał w nim rzekome unickie wpływy wśród młodego pokolenia działaczy białoruskich na Białostocczyźnie. Była to zapewna jedna z wielu prób skompromitowania młodych Białorusinów w oczach duchowieństwa prawosławnego, na którego poparciu bardzo im zależało.

Kilkanaście miesięcy temu, a więc już w demokratycznej Polsce, odwiedziłem pokaźny gmach przy ulicy Sienkiewicza, nb. stojący w miejscu, gdzie przed wojną wznosiła się największa cerkiew prawosławna w Białymstoku. Zainteresowanych celem wizyty muszę rozczarować — po kilkugodzinnej rozmowie z oficerem śledczym (którego nazwiska również nie wymienię), daliśmy sobie słowo, że o jej przebiegu nie piśniemy nikomu postronnemu ani słowa. Bardziej istotne jest co innego. Korzystając z niepowtarzalnej okazji, zapytałem, czy w białostockiej delegaturze Urzędu Ochrony Państwa istnieje komórka zajmująca się mniejszością białoruską. Odpowiedział, że nic mu na ten temat nie wiadomo, ale myśli, że nie. Była to jedyna wymiana zdań na ten temat. Ale czy szczera?

28 września br. w Urzędzie Wojewódzkim w Białymstoku pełnomocnik wojewody ds. mniejszości narodowych spotkał się z przedstawicielami organizacji białoruskich, ukraińskich, rosyjskich i romskich działających w naszym regionie. Wyliczając listę osiągnięć jakie udało mu się dokonać podczas piastowania urzędu, ***Sławomir Halicki wspomniał m.in. o przygotowanym przez siebie raporcie dotyczącym sytuacji mniejszości narodowych w województwie białostockim. Na pytanie o jego zawartość odpowiedział, że jest to opracowanie do użytku wewnętrznego i jako takie nie może być udostępniane osobom postronnym. Zdumieni działacze mniejszościowi usłyszeli tylko, że przygotowanie raportu pomogło urzędnikowi wojewody zrozumieć dogłębnie sytuację mniejszości oraz to, że bardzo się nim interesował premier Włodzimierz Cimoszewicz.***

Powstawanie takich tajnych opracowań i zainteresowanie

KRAJ

Krynica Górska

● W dniach 11-13 października odbyło się forum gospodarcze „Polska-Wschód". Delegacja białoruska liczyła ponad sto osób, a przewodniczył jej wicepremier Siarhiej Linh. Wiodącym tematem forum było reformowanie gospodarki w państwach postkomunistycznych Europy Wschodniej.

Puńsk

● W dniach 18-20 października odbyły się III Spotkania Mniejszości Narodowych, w których uczestniczyli Litwini, Białorusini, Ukraińcy i Romowie. W programie imprezy znalazła się prezentacja dorobku artystycznego poszczególnych mniejszości oraz dyskusja.

Warszawa

● Na zaproszenie Unii Wolności z kilkudniową wizytą w Polsce przebywał deputowany do Rady Najwyższej Białorusi Stanisław Szuszkiewicz. Spotkał się m.in. z dziennikarzami i posłami z polsko-białoruskiej unii międzyparlamentarnej. Głównym celem wizyty działacza białoruskiej opozycji było zwrócenie uwagi polskiej opinii publicznej na wydarzenia w Białorusi oraz zaproszenie polskich parlamentarzystów do wzięcia udziału w referendum, zaplanowanym na 24 listopada, w roli obserwatorów.

ŚWIAT

Austria

● Wstrzymane zostały czynności formalne związane z przyjęciem Białorusi do Rady Europy. Jako oficjalne uzasadnienie decyzji podano naruszanie demokracji i swobód obywatelskich w republice. Ministerstwo Spraw Zagranicznych RB określiło to jako „przejaw dyskryminacji Białorusi na arenie międzynarodowej".

Francja

● Jerzy Giedroyc, redaktor paryskiej „Kultury", podjął starania, aby w przyszłym uniwersytecie białostockim powstała katedra białoruskiej historii i kultury. Giedroyc poinformował o tym w liście do Sokrata Janowicza oraz na łamach najnowszego numeru paryskiego pisma.

Rosja

● 16 października Aleksander Łukaszenka złożył oficjalną wizytę Borysowi Jelcynowi. Przyjazd białoruskiego prezydenta do Moskwy był poprzedzony wymianą listów między szefami obu państw. Borys Jelcyn wzywał Aleksandra Łukaszenkę do szukania kompromisu w rozwiązaniu konfliktu z parlamentem i przestrzegania zasad demokracji.

nimi nawet szefów rządów nie powinno w zasadzie nikogo dziwić... gdyby nie pewne wydarzenie sprzed sześciu lat.

21 grudnia 1990 roku w Sejmie poseł Sojuszu Lewicy Demokratycznej Włodzimierz Cimoszewicz mówił: „Pani Marszałek! Wysoki Sejmie! Trafił do moich rąk zdumiewający dokument Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Jest to datowana na 17 grudnia tego roku „Notatka informacyjna o sytuacji politycznej i stosunkach polsko-białoruskich na pograniczu etnicznym oraz Białoruskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej jesienią 1990 roku".

Młodszym i słabiej obeznanym z kuluarami regionalnej polityki Czytelnikom trzeba wiedzieć, że wspomnianą „Notatkę..." sporządzili dwaj pracownicy MSZ po kilkudniowym pobycie na Białostocczyźnie i rozmowach z działaczami białoruskimi, polskimi aktywistami i dziennikarzami solidarnościowymi. Pracownicy MSZ sformułowali wówczas 12 wniosków dotyczących m.in. ułożenia polsko-białoruskich stosunków międzypaństwowych, sytuacji mniejszości białoruskiej w Polsce i polskiej w Białorusi oraz stanu organizacyjnego polskich Białorusinów. O żałosnym poziomie merytorycznym opracowania świadczą sformułowania typu: „Powtarzane są opinie, że „polscy WOP-iści piją wódkę razem z sowieckimi pogranicznikami, a szef placówki w Białowieży razem z nimi", czy: „Należy obawiać się nie białoruskiego nacjonalizmu jako takiego, lecz bardziej możliwości uzyskania przez polskich Białorusinów protekcji z zewnątrz — jak ruch komunistyczny czy służby specjalne obcych państw". Podczas rozmowy z dziennikarzem tygodnika „Plus" wywiadowcy MSZ doszli, można by rzec, do proroczego wniosku: „Najważniejszym celem środowisk komunistycznych, zgrupowanych w SdRP, jest uzyskanie wpływu na przyszłą politykę BTSK".

Notatka była adresowana do kilkudziesięciu osób: niektórych ministrów i wiceministrów, przewodniczących części komisji sejmowych i senackich, kierownictwa służb specjalnych.

Ujawnienie raportu MSZ gwałtownie podniosło notowania posła Ziemi Białostockiej Włodzimierza Cimoszewicza wśród elektoratu prawosławno-białoruskiego, który zaczął go uważać za obrońcę swoich żywotnych interesów. Do tego stopnia, że w rozmowie z ówczesnym dziennikarzem „Gazety Współczesnej", Arturem Smółko, opublikowanym w książce pt. „Czas odwetu" (Białystok 1993, s. 251) znalazł się wyjątek: Artur Smółko: — Niewątpliwie jednak zdobył Pan na samej sprawie kolejne punkty.

Włodzimierz Cimoszewicz: — Jeżeli tak się stało, to nie mam powodów do zmartwień.

Wobec przytoczonych faktów uprawnione wydaje się pytanie: ***Co takiego zaszło w ciągu ostatnich sześciu lat, że obecnie pracownicy administracji rządowej mogą sporządzać tajne raporty o sytuacji mniejszości narodowych, którymi bardzo interesuje się premier Włodzimierz Cimoszewicz?*** *Ten sam Włodzimierz Cimoszewicz, który w 1990 r. z trybuny sejmowej gromił partaczy z MSZ: „Czy funkcjonariusze MSZ zostali upoważnieni do podejmowania działań przygotowawczych do przyszłych wyborów parlamentarnych w województwie białostockim? Jakim prawem MSZ spełnia na terenie kraju rolę policji politycznej? Czy to możliwe, żeby dokument MSZ miał charakter donosu konfidenta policji politycznej. Jakie wnioski zostaną wyciągnięte wobec urzędników-agentów. Czy Białorusini (...) usłyszą słowo przepraszam? (Oklaski)".*

Po aferze związanej z ujawnieniem raportu MSZ w 1990 roku białoruski ruch organizacyjny w Polsce popadł w okres wielkiej smuty, z którego nie może otrząsnąć się do dziś.

Efektów „wielkiego zainteresowania" premiera Włodzimierza Cimoszewicza tajnym opracowaniem autorstwa pełnomocnika Sławomira Halickiego należy oczekiwać w najbliższej przyszłości.

Jerzy Kalina

■ REPUBLIKA BIAŁORUŚ

Mińsk

● Rada Najwyższa zabroniła transmisji obrad parlamentu przez Telewizję Białoruską. Deputowani podjęli uchwałę w odpowiedzi na tendencyjne i nieobiektywne, ich zdaniem, relacje z obrad. Jednocześnie polecili przewodniczącemu Siamionowi Szareckiemu, by zwrócił się do dyrekcji publicznej telewizji rosyjskiej z prośbą o częstsze informowanie o pracy białoruskiego parlamentu.

● „Szanowni obywatele! Nasz kraj stoi u wrót dyktatury faszystowskiej" — te słowa rozpoczynają posłanie, z którym, za pośrednictwem niezależnej gazety „Narodnaja wola", zwrócił się do narodu przewodniczący Rady Najwyższej RB Siamion Szarecki. Była to reakcja na nową konstytucję, proponowaną przez Aleksandra Łukaszenkę. Tym samym został zapoczątkowany otwarty konflikt władzy ustawodawczej i wykonawczej w republice.

● Przejawem narastającego od miesiąca konfliktu prezydenta z parlamentem stała się też obsada stanowiska redaktora naczelnego „Narodnaj haziety", będącej oficjalnym organem Rady Najwyższej, a w rzeczywistości ściśle podporządkowanej Administracji Prezydenta. Uchwałą parlamentu ta funkcja została przydzielona jednemu z deputowanych, Leonidowi Junczykowi. Dotychczasowy szef „Nh", Michaił Szymanski, odmówił ustąpienia ze stanowiska, twierdząc że tylko prezydent może go odwołać. Sprawę w najbliższym czasie ma rozstrzygnąć Sąd Konstytucyjny.

● Aleksander Łukaszenka wydał dekret o nacjonalizacji największego kompleksu turystycznego w republice — „Bielinturistu". Ponownie własnością państwa staną się hotel „Jubilejnaja" i motel „Minskij" w stolicy oraz firma „West-Intur" z Brześcia.

● W Mińsku przebywał Aman Tulajew, rosyjski minister do spraw współpracy z krajami WNP. Podczas konferencji prasowej powiedział, że wiadomo mu o czterech próbach zamachu na życie Aleksandra Łukaszenki. Wywołało to poruszenie opinii publicznej, która sensacyjną informację odebrała ze zdziwieniem. Siamion Szarecki wystosował list do premiera Rosji, w którym wyraził oburzenie z powodu rozpowszechniania przez członka rosyjskiego rządu „podejrzanych rewelacji".

● Ambasadorzy Francji, Niemiec, Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii i Włoch wystosowali oficjalny protest do Ministerstwa Spraw Zagranicznych RB. Zachodni dyplomaci wezwali białoruskie władze do przestrzegania ustaleń konwencji wiedeńskiej, regulujących stosunki międzynarodowe. Przyczyną protestu stały się utrudnienia w kontaktach ambasad z organizacjami rządowymi i pozarządowymi. Demarche ambasadorów władze uznały za ingerencję w wewnętrzne sprawy kraju.

● Z udziałem 900 delegatów ze wszystkich rejonów republiki odbyło się Społeczne Forum Sportowców Białorusi. Prezydent Aleksander Łukaszenka, który wygłosił tam przemówienie, następnie wystąpił w meczu piłki nożnej na stadio-



Na ulicach Mińska — Fot. J. Osiennik

Przeczytaj i przekaż innym!

DWA LATA temu Aleksandra Łukaszenkę wybraliśmy na prezydenta i **MYŚLELIŚMY**: „Nareszcie znalazł się człowiek uczciwy". Łukaszence święcie wierzyliśmy! W czasie wyborów prezydenckich głosowaliśmy na niego, bo mieliśmy nadzieję na polepszenie życia. Udzieliliśmy mu poparcia na pierwszym referendum, wierzyliśmy mu nadal, mając nadzieję na wyższe pobory i niższe ceny.

A CO OTRZYMALIŚMY?

Łukaszenka naszym i twoim kosztem pomógł tzw. „Fundacji Mahmuda Esambajewa", a tym samym **OGRABIŁ** Białoruś z 4 miliardów 400 milionów rubli, to znaczy odebrał od każdego z nas, wliczając niemowlęta, po 400000 rubli.

Łukaszenka powołał firmę „Torgexpo" (handel alkoholem niemieckim i holenderskim) i poprzez nią **UKRADŁ** z naszego budżetu 7,8 miliarda rubli. Jest to **MINUS** z naszych wypłat, emerytur i świadczeń po dalsze 975 tys. rubli.

Łukaszenka podpisał tzw. „Umowę o sojuszu celnym z Rosją". W ciągu roku obowiązywania tej niesprawiedliwej dla nas umowy Białoruś **STRACIŁA ŻYWĄ GOTÓWKĄ** 34,5 tryliona rubli. Od każdego z nas zabrano więc jeszcze po 3,5 miliona rubli!

A my tymczasem nie mamy czym zapłacić za mieszkanie, energię elektryczną, przedszkole, bilety komunikacji miejskiej, wielu z nas głoduje. Na kolejnym referendum (ile ich jeszcze będzie?) Łukaszenka chce **UMYĆ RĘCE** i zmienić Konstytucję tak, **ŻEBY RZĄDZIĆ I TYRANIZOWĆ WIECZNIE!** A i samo referendum „uwolni" każdego z nas od kolejnych 450 tysięcy rubli.

Łukaszenka albo nas okłamał na wyborach, albo w ciągu dwóch lat zmienił się do tego stopnia (za dużo jadł?), że stał się grubym, tłustym kotem.

DOŚĆ ROBIENIA WODY Z MÓZGÓW, PREZYDENCIE!

Złej baletnicy przeszkadza i rąbek u spódnicy! **NIE MOŻESZ PODOŁAĆ? ODEJDŹ!**

Myśl, elektoracie...

Treść rosyjskojęzycznej ulotki, kolportowanej w Białorusi w minionym miesiącu

tłum. (jc)

nie Dynama. Mecz obserwowało 30 tysięcy widzów.

● 18 października rozpoczął dwudniowe obrady Kongres Narodowy w obronie Konstytucji przeciwko Dyktaturze. Wzięło w nim udział ok. tysiąca osób — m.in. wiceprzewodniczący Rady Najwyższej Hienadź Karpienka, zdymisjonowany minister spraw wewnętrznych Jury Zacharenka i przedstawiciele najważniejszych partii i ugrupowań politycznych. Kongres zwołano w odpowiedzi na prezydencki populistyczny „usiebiełaruski schod", który stał się też okazją do przeprowadzenia antyprezydenckiej demonstracji. Ulicami przeszło 20 tys. osób, skandując okrzyki: „Łukaszyzm nie przejdzie!" Milicja i siły porządkowe, bacznie obserwujące demonstrację — wbrew przewidywaniom — nie interweniowały.

● 19 października na „usiebiełaruski schod" przybyło blisko 6 tysięcy delegatów. Aleksander Łukaszenka oświadczył, iż odstępuje od zamiaru zorganizowania referendum konstytucyjnego 7 listopada, godząc się tym samym na termin wyznaczony przez parlament, 24 listopada.

● „Pierwszy Prezydent Republiki Białoruś" — taki tytuł nosi książka Władimira Jakutona, wydana w nakładzie 207 tys. egzemplarzy, z czego 120 tysięcy ma trafić do Rosji.

● Piłkarska reprezentacja narodowa zremisowała 1:1 z drużyną Łotwy w meczu eliminacyjnym mistrzostw świata. Aktualna kolejność w grupie jest następująca: 1. Szkocja (7 zdobytych punktów), 2. Szwecja (6), 3. Austria (4), 4. Białoruś (4), 5. Estonia (3), 6. Łotwa (1).

● Średnio 90-120 dolarów miesięcznie kosztuje wynajęcie mieszkania w Mińsku. W centrum miasta te ceny sięgają nawet 500-1000 dolarów, taniej niż w Moskwie, ale drożej niż w Warszawie.

***

● W miejscowości Rumdziuny w pobliżu granicy z Litwą uroczyście przekazano do użytku szkołę litewską dla 110 uczniów. Otwarcia dokonali premierzy obu pństw — a M. Czyhir i M. Staniakjawiczius.

● W wyniku pęknięcia rury rurociągu „Przyjaźń" na odcinku w pobliżu wsi Zamoszje koło Szkłowa dwa hektary gruntów rolnych zostały zalane 150 tonami oleju napędowego. Przyczyną awarii było wmontowanie przez nieznanego sprawcę kranu w rurę, co osłabiło jej wytrzymałość i w konsekwencji spowodowało rozerwanie.

Prezydent imperator

Rozmowa z Walerym Tichinią, przewodniczącym Sądu Konstytucyjnego Białorusi

„Gazeta Wyborcza": Prezydent Aleksander Łukaszenka podzielił białoruskie społeczeństwo na zwolenników i przeciwników obowiązującej konstytucji. Jakie jest stanowisko Sądu Konstytucyjnego w tej sprawie?

Walery Tichinia: Uważam, że należy przyjąć wariant zerowy. Ponieważ oprócz prezydenckiego projektu konstytucji, który przewiduje skupienie w rękach jednego człowieka ogromnej władzy, istnieje także projekt parlamentarny, przewidujący z kolei likwidację urzędu prezydenta, Sąd Konstytucyjny jest zdania, że należy w ogóle zrezygnować z referendum zatwierdzającego jeden z projektów.

Naszym zdaniem w obecnych warunkach ciężkiego kryzysu ekonomicznego, a także politycznego, w Białorusi, należy zostawić w spokoju konstytucję z 15 marca 1994 roku. Mamy prawo być z niej dumni, gdyż zakłada ona zbudowanie w Białorusi demokratycznego państwa prawa. To już piąta konstytucja w naszej historii, ale pierwsza, w której jasno powiedziano, że największą wartością jest człowiek, jego prawa i wolności.

Dlaczego zatem Aleksander Łukaszenka chce ją zmienić?

— Kiedy w 1994 roku został prezydentem, powiedział: „Według obowiązującej konstytucji mam królewską władzę". Teraz doszedł do wniosku, że to za mało. Za mało, jak twierdzi, dla efektywnego zarządzania gospodarką i krajem. A to po prostu nieprawda. (...)

Jeśli prezydent nie korzysta z władzy, którą daje mu konstytucja, to po co mu jej jeszcze więcej?

— Żądza władzy — oto co nim kieruje. Chodzi mu o maksymalną centralizację. W prezydenckim projekcie obywatele nie otrzymują ani większych praw, ani większych swobód. Co innego prezydent — jego uprawnienia wzrastają wielokrotnie. Jeżeli obywatele naszego kraju przyjmą ten projekt w referendum, to w Białorusi zapanuje dyktatura. Mówię to z całą odpowiedzialnością. Aleksander Łukaszenka nie będzie miał już uprawnień króla, ale imperatora. I w Europie może pojawić się nowe Haiti.

A projekt parlamentu?

— Przewiduje republikę parlamentarną i likwidację stanowiska prezydenta. To reakcja deputowanych na pomysł Łukaszenki. Sąd Konstytucyjny uważa, że należy zrezygnować z obu projektów. Proponujemy moratorium na wszelkie zmiany konstytucji, przynajmniej na najbliższe lata. (...)

Jakie są Pana prognozy na czas najbliższy?

— Bardzo wątpię, czy nasi obywatele są w stanie dokonać świadomego wyboru. Badania socjologiczne stwierdzają, że 90 proc. respondentów nie zna obu projektów. Ale nawet nie to jest najważniejsze. Państwo zmonopolizowało prawie wszystkie środki masowego przekazu. Nie mamy w Białorusi społecznego radia i telewizji — mamy prezydenckie radio i prezydencką telewizję. Ludzie otrzymują prawie wyłącznie jednostronną informację. Jak w takiej sytuacji mowić o wolności wyboru? (...)

Co stanie się wtedy z Sądem Konstytucyjnym i parlamentem?

— Sąd wybrany jest na 11 lat, zgodnie z obowiązującą konstytucją. Odwołanie jego składu czy zmiana kompetencji przed upływem kadencji to oczywisty nonsens prawny. Niemniej jest to całkiem realne.(...)

Rozmawiała Irena Lewandowska

„Gazeta Wyborcza, 14.10.1996 r.

Z ŻYCIA CERKWI

Biała Podlaska

● W niedzielę, 27 października, odbyły się centralne uroczystości związane z uroczystym wniesieniem ikony św. Atanazego Brzeskiego oraz jego relikwii, podarowanych przez klasztor Proviemont z Francji, do cerkwi św. Braci Cyryla i Metodego.

Białystok

● 29 września, z udziałem arcybiskupa Sawy, nastąpiło uroczyste poświęcenie nowej parafii pod wezwaniem św. Jerzego na osiedlu Nowe Miasto w Białymstoku. Parafia, wydzielona z katedralnej (św. Mikołaja), liczy ponad tysiąc wiernych, a jej proboszczem został o. Grzegorz Misijuk. Wierni modlić się będą tymczasowo w drewnianej świątyni przewiezionej z Czyż, gdzie spełniała ona podobne funkcje do czasu wzniesienia cerkwi murowanej.

● 20 października w świetlicy przy parafii św. Ducha odbył się XII Diecezjalny Zjazd Bractwa Młodzieży Prawosławnej. Stu delegatów z większości parafii diecezji białostocko-gdańskiej (przeważali białostoczanie) podsumowało minione dwa lata działalności Bractwa i wybrało nowe władze. Przewodniczącą zarządu została Katarzyna Żyżel z Białegostoku. Dotychczasowego szefa, Marka Masalskiego, arcybiskup Sawa powołał na stanowisko dyrektora Prawosławnego Ośrodka Miłosierdzia.



Pamiątkowe zdjęcie uczestników zjazdu — Fot. M. Masalski

Kraków

● Nakładem Wydawnictwa Uniwersytetu Jagiellońskiego ukazała się książka pt. „Prawosławie". Składa się ona z kilkunastu referatów wygłoszonych na sesji naukowej zorganizowanej w październiku ub.r. przez Zakład Historii Chrześcijaństwa UJ. Referaty, ułożone chronologicznie, przedstawiają problemy historii Cerkwi prawosławnej, zagadnienia z historii sztuki oraz współczesne oblicza prawosławia.

Nowa Łuka

● W niedzielę, 20 października, wierni parafii Stare Lewkowo uczestniczyli w uroczystości ustawienia krzyża i poświęcenia miejsca pod budowę kaplicy. Wieś Nową Łukę, przed wybudowaniem Zbiornika Siemianówka liczącą około stu pięćdziesięciu domostw, dzisiaj zamieszkuje zaledwie dziesięć rodzin. Wzniesiona kaplica ma upamiętnić to święte, jak twierdzą mieszkańcy, miejsce życia ich przodków.

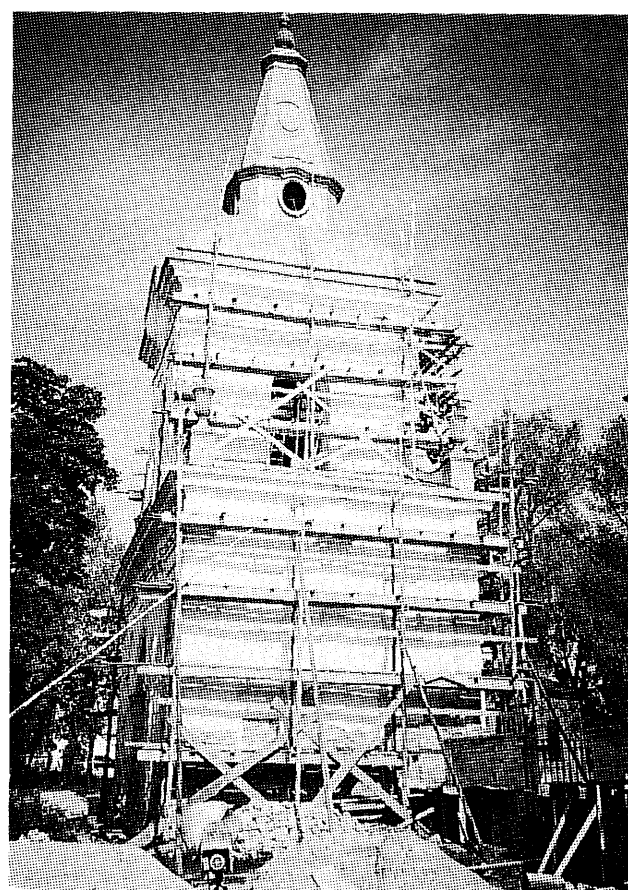
Ryboły

● Ukazała się czternasta książka autorstwa o. Grzegorza Sosny. Tym razem jest to trzeci suplement „Wstępnej bibliografii chrześcijaństwa wschodniego", obejmujący publikacje zamieszczane w wydawnictwach Bractwa Młodzieży Prawosławnej. W bibliografii wyszczególnionych jest 1278 tytułów z takich wydawnictw jak „Biuletyn Informacyjny KTP, „List Informacyjny", „Wiadomości Bractwa" i in.

Białoruś

● Od 1 do 3 października obradowała międzykonfesyjna konferencja Kościołów chrześcijańskich i organizacji religijnych z krajów nadbałtyckich i Wspólnoty Niepodległych Państw. Uczestnicy omawiali stosunki państwo — kościoły oraz zastanawiali się nad sposobami rozwiązywania konfliktów międzywyznaniowych. Końcowym tematem obrad był problem rozszerzenia NATO na wschód.
— Cerkiew żyje na ziemi — mówił w swym wystąpieniu jeden z uczestników — dlatego nie możemy spokojnie przyglądać się umacnianiu pozycji NATO. Jego zdaniem Sojusz Północnoatlantycki dzieli narody.

Узвышэнне з руінаў



Адышоў у нябыт час змагання за спрадвечную ўласнасць Праваслаўнай царквы і беларускага народа — Супрасльскую лаўру. Адгрымелі навальніцы палемік, прыціхлі правакатары і непрыяцелі. Дай Бог, каб назаўсёды. Пачаўся час мазолістай і руплівай працы.

На працягу залатой восені манастыр нагадваў адзін вялікі пляц будовы. Паралельна адбудоўваецца абарончая Дабравешчанская царква ды вядуцца рамонты будынкаў, перададзеных Царкве некалькі месяцаў таму. На храме, у сцены якога ўкладзены ўжо звыш мільён цэглаў, красуюцца купалы.

Памяшканні, якія яшчэ год таму займала сельскагаспадарчая школа, патрабуюць грунтоўнага рамонту. Найбольш тэрміновыя справы — перакрыць амаль пяць тысяч квадратных метраў дахаў ды асушыць муры. Без гэтага няма што і думаць пра далейшыя працы: пакладку новых тынкаў, электрычных і санітарных інсталяцый, падлог і г.д. Давядзенне да належнага парадку ўсіх спраў глыбока зацягнецца ў XXI стагоддзе.

Аднак ужо цяпер Сінод Праваслаўнай царквы і архімандрыт Міран клапоцяцца пра будучыню аб'ектаў — звыш дванаццаць тысяч квадратных метраў трэба неяк добраўпарадкаваць. У манастырскіх памяшканнях знойдуць прытулак дом для састарэлых, дом паломнікаў, Сусветнае брацтва праваслаў-

нае моладзі „Сіндэсмас”. Манахі хочуць узнавіць друкарска-выдавецкую дзейнасць і выраб свеч, заснаваць вялікую бібліятэку і музей. У планах — заснаванне пякарні, якая будзе забяспечваць у хлеб і свежыя булачкі. Марай айца Гаўрыіла ёсць вырошчванне зёлак і шырокамаштабнае лячэнне хворых.

Становучае вырашэнне ўсіх намераў магчымае, калі будуць на гэта адпаведныя сродкі. А з гэтым у нас не найлепш.

Кожны з нас стаіць перад непаўторным шанцам запісаць свой лісток у гісторыю Лаўры як яе „ктітар” і дабрачынца. Побач друкуем нумар банкавага рахунку, на які можна ўплачваць грошы на гэтую мэту.

Тэкст і фота Юрыя Каліны



Klasztor męski w Supraślu
Bank Spółdzielczy w Supraślu
905608-286—2110

Stare cmentarze

Nie opodal wielu wsi na Podlasiu zachowały się skupiska dwu, trzech krzyży, ogrodzonych drewnianym lub metalowym płotem. Mało kto wie, że często są to pozostałości starych cmentarzy. Nawet miejscowi nie uświadamiają sobie, że spoczywają tam prochy ich przodków. Z każdym rokiem pamięć słabnie. Aby uwiecznić te miejsca, wybrałem się z aparatem fotograficznym na wędrówkę po swojej najbliższej okolicy — wsiach gminy Orla koło Bielska Podlaskiego. Udało mi się zebrać wiele interesujących informacji o historii tych, w większości opuszczonych, zaniedbanych i zapomnianych już miejsc.

W lasku koło Orli stoi kamienny krzyż, wzniesiony w 1909 roku przez mieszkańca tej miejscowości Piotra Kubajewskiego, właściciela okolicznych gruntów, który żył równo 105 lat. Ów pomnik postawił na miejscu spróchniałego drewnianego krzyża, który stał tu od ok. 1860 roku. Wtedy szalała epidemia cholery, pustosząc okoliczne wsie i samą Orlę. Ta straszna choroba powodowała niekiedy śmierć całych miejscowości. Do takich zaliczała się wieś Wierwieczki (część włości orlańskiej), dziś nie istniejąca. Znajdowała się na prawym brzegu rzeki Orlanki i ciągnęła się od dzisiejszej kolonii Antonowo do cmentarza parafialnego. Była to duża wieś, licząca 82 gospodarstwa. Za czasów książąt słuckich, według księgi poborowej z 1577 roku, wieś Wierwieczki obejmowała 25 włók, 3 karczmy, 2 komorników. Jej nazwa widniała jeszcze na mapach z 1848 i 1880 r. Później weszła w skład Orli.



Półtora wieku temu w tym miejscu utworzono cmentarz choleryczny, na którym zmarłych grzebano szybko i cicho, spoglądając ze strachem na jeszcze żyjących, którzy być może już jutro mieli podzielić wspólną mogiłę.



Po dawnej wsi Wierwieczki dziś zachowała się jedynie piaszczysta droga z kolonii Antonowo do Orli. Uprawiający pobliskie grunty rolnicy odnajdywali chłopskie narzędzia, które przekazano do muzeum.

Zachował się przekaz, mówiący o tym, jak zrozpaczeni ludzie w czasie szalejącej epidemii utkali olbrzymi lniany ręcznik. Zakopali go w miejscu pochówku zmarłych, wznosząc modły o ocalenie. Przeżyło tylko dziewięciu gospodarzy, których ówczesny właściciel Orli osiedlił w miejscu obecnej Wólki i Mikłasz, dając w ten sposób początek tym wsiom.



Corocznie w pierwszą niedzielę po Wielkanocy w parafii prawosławnej w Orli odbywa się tradycyjna procesja do grobów żołnierzy rosyjskich i niemieckich z czasów I wojny światowej, pochowanych na „starym cerkwisku" (*mohiłkach*), gdzie ongiś stała pierwsza cerkiew pw. św. Szymona Słupnika. Odprawia się tam panichidę i wznosi modły w intencji pokoju na świecie.
W latach 1989-1994 na „starym cerkwisku" wybudowano murowaną kaplicę ku czci Szymona Słupnika, którą 16 lipca 1995 r. wyświęcił metropolita Bazyli.



Przy drodze do Wólki Wygonowskiej stoi stary nagrobek niemiecki z 1915 r. Obecnie to miejsce zarosło już samosiewnym laskiem, jedno z drzew niemal ociera się o pomnik. Solidny nagrobek, zwieńczony hełmem, z trzech stron pokrywają wyryte nazwiska żołnierzy i numery kompanii. Polegli w tym miejscu, zaskoczeni w nocy przez kozaków.



Między Parcewem a Wólką zachował się bardzo stary cmentarz prawosławny, nieczynny od I wojny światowej. Miejsc pochówków wówczas jeszcze nie obmurowywano, okładano jedynie ziemią i darnią. Zachowało się wiele krzyży drewnianych oraz kamiennych, zakończonych pięknymi, stalowymi krzyżykami, kutymi przez miejscowych kowali.



Dawny „nowy" cmentarz żydowski w Orli. „Nowy" — dlatego, że stary cmentarz przy synagodze nie zachował się. Kamienne nagrobki Niemcy wykorzystali jako budulec do okolicznych dróg.

W XVI-XVII w. osadnictwo żydowskie w Polsce było największe na świecie. W miasteczkach na Podlasiu Żydzi stanowili często większość mieszkańców. Orlańska gmina żydowska powstała na przełomie XVI i XVII wieku. W 1765 r. liczyła 1358 wyznawców, będąc w tym czasie dwukrotnie liczniejsza od gminy białostockiej. W 1847 roku Orlański Okręg Bożniczy liczył 4 436 Żydów.
W czasie okupacji niemieckiej ludność żydowską uwięziono w getcie, skąd przewieziono ją do Bielska Podlaskiego, a następnie do Treblinki.
Z bogatej kultury żydowskiej pozostała w Orli synagoga i cmentarz. Po drugiej wojnie światowej zrodziła się koncepcja adaptacji budynku synagogi na dom kultury. Z braku funduszy idea ta upadła, a obiekt długie lata służył jako magazyn. Dopiero w latach 80. ze środków Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków i Wojewódzkiego Funduszu Kultury przeprowadzono remont dachu, elewacji, stropów, wykonano kanały centralnego ogrzewania, odbudowano dwa boczne babińce, założono miedziane rynny oraz wykonano stolarkę okienną i drzwiową.
Obiekt należy do Skarbu Państwa i wciąż czeka na gospodarza, który przywróci mu dawną świetność. Cmentarz żydowski także wymaga zagospodarowania. Przede wszystkim należałoby go ogrodzić, żeby zabezpieczyć pozostałości nagrobków i uszanować pamięć pochowanych tam ludzi.

tekst i fot. Michał Mincewicz

Stagnacja i niepokój



Uczestnicy konferencji: Alma Laminskene (Wilno), Mikoła Mikałajeu (Sankt Petersburg) i Wirżynia Szymaniec (Paryż)

Fot. H. Głogowska

— Czaławiek, kupicie nasz himn! — jakaś kobieta zaczepiła Sokrata Janowicza. Ten, zmieszany, szybko wyłożył 50 tys. rubli, mówiąc, że nie odmawia, gdy kobiety składają mu propozycje. Sprzedawczyni, zadowolona z udanej transakcji, zaoferowała swój autograf. — Jak, jak? — pytała pisarza o nazwisko, które kompletnie nic jej nie mówiło. Janowicz był dla niej jednym z wielu Kowalskich, którzy przyjechali na Białoruś z kieszenią pełną pieniędzy.

Ta scena wydarzyła się 5 października br. w holu Domu Litaratara w Mińsku tuż przed rozpoczęciem II Naukowo-Praktycznej Konferencji „Kultura i edukacja białoruskiej zagranicy", którą zorganizowało Stowarzyszenie Białorusinów Świata „Baćkauszczyna". Sokrat Janowicz był jednym z ważniejszych jej uczestników — wystąpił z odczytem, swoje referaty poświęciło mu też dwoje innych prelegentów (Hanna Zapartyka i Alaksiej Piatkiewicz). Był jednym z trzech bohaterów wieczoru jubilatów, wspólnie z Janem Zaprudnikiem z USA i Aleksandrem Nadsonem z Anglii (nie przyjechał). Okazało się, że Sokrat jest tu prawie nieznany, chociaż urósł niemalże do rangi eksponatu muzealnego, o czym mogli się przekonać widzowie podczas wieczornicy.

Scena na korytarzu potwierdziła wciąż surrealistyczne tu postrzeganie rzeczywistości. Bo kupić i sprzedać w Białorusi można wszystko — honor, wiarę i duszę, nie wspominając o narodowości, której cena jest teraz prawie żadna. A hymn? — cóż, dziś jest ten, a jutro inny. Tylko podczas konferencji można było usłyszeć aż trzy: „Mahutny Boża", „Pahonia" i „Żywie Biełaruś" (hymn „Baćkauszczyny").

W Mińsku niewiele się zmienia, ulice wyglądają tak samo, jak pół roku temu. Odczuwa się stagnację. — Teraz tylko odważni przyjeżdżają na Białoruś. Nad wszystkim czuwa KGB — usłyszałam od miejscowych.

„Baćkauszczyna", istniejąca już sześć lat, robi wszystko, aby zjednoczyć Białorusinów rozrzuconych po świecie. Przewodnicząca Hanna Surmacz odwiedziła wszystkie główne skupiska Białorusinów poza republiką. To ona była inicjatorką konferencji naukowo-praktycznych, jako sposobu na integrację emigracji, która z nadzieją powitała białoruskie odrodzenie narodowe na początku lat 90.

I tym razem, podobnie jak poprzednio, przyjechali przeważnie Białorusini z byłych republik Związku Radzieckiego. Emigracja z tzw. „dalokaha zamieżża" boi się reżimu Aleksandra Łukaszenki. Chociaż na konferencji tego się specjalnie nie odczuwało. Prawo głosu miał każdy, kto miał coś do powiedzenia. W wystąpieniach najczęściej podkreślano własne (osobiste lub organizacji) zasługi dla białoruskości, uczestnicy dalecy byli od samokrytyki, nie poruszali też aktualnych bolesnych tematów. Troska o przyszłość narodową ujawniła się jedynie w czasie dyskusji nad miejscem, czasem i koncepcją II Zjazdu Białorusinów Świata, który zaplanowano na 1997 rok. Przyjęto datę 26-27 lipca 1997 r. Wybór miejsca wywołał ożywioną dyskusję. Padały różne propozycje: Białystok, Wilno, Praga, Lwów, Ryga, Moskwa. Większość opowiedziała się jednak za Mińskiem, twierdząc że gdyby nawet Aleksander Łukaszenka na to nie pozwalał, Mińsk jest jedynym miejscem, gdzie powinni spotykać się Białorusini rozrzuceni po świecie, choćby na ulicy czy w parku. Ustalono, że tematem wiodącym przyszłorocznego zjazdu będzie „białoruska obecność w świecie".

Młode pokolenie Białorusinów mieszkających poza republiką być może ma inną wizję integracji i współpracy. Okaże się to 21-25 lipca 1997 r. w Wilnie na Zjeździe Młodzieży Białoruskiej. O takiej inicjatywie poinformował jeden z młodszych uczestników konferencji, których można było policzyć na palcach.

W pociągu do Polski jechały ze mną kobiety z Saratowa. Okazało się, że co dwa tygodnie nielegalnie wożą do Warszawy alkohol. Poinformowały mnie, że wszyscy pasażerowie tego pociągu to właśnie tacy jak one — „ludzie większych i mniejszych interesów", którzy wiedzą, że aby spokojnie przewieźć swój towar (zajmujący w przedziale więcej miejsca od nich) należy dać do ręki białoruskiemu celnikowi 100 dolarów. A wtedy „wsio budiet charaszo". Były zdziwione, że można jeździć za granicę i nic nie przemycać. Obraziły się, gdy nie przyłączyłam się do ich, zakrapianej alkoholem, kolacji. — Ty by toże jezdiła, kogda by tiebie nieczewo było żret ! — usprawiedliwiały się pijane kobiety.

Do Polski wjeżdżałam jednak smutna z innego powodu. Konferencja jeszcze raz potwierdziła postępujący upadek naszej kultury i edukacji. Wszędzie. W Republice Białoruś i na emigracji. Także na mojej ojczystej Białostocczyźnie, gdzie świadomość narodowa „prostego ludu" wciąż jest szczątkowa. Coraz mniej ludzi posługuje się językiem białoruskim. Z niepokojem patrzę w przyszłość, kiedy odejdzie pokolenie moich rodziców, dla których ten język — oczywiście z jego gwarowymi odcieniami — to coś naturalnego i podstawowego. Moi rówieśnicy tego nie rozumieją. Myślą po polsku.

Helena Głogowska

Jerzy Chmielewski

Wolność na papierze



Kolporter sprzedający niezależne gazety w Mińsku

Gmach przy Iwanowskiej 56 w Mińsku od pozostałych 150 biurowców prezydenckich różni się tym, że w środku „kilkunastu pseudodziennikarzy wykonuje brudną antypaństwową robotę". Tak z najwyższych trybun zwykł wypowiadać się Aleksander Łukaszenka o białoruskiej niezależnej gazecie „Swaboda". Te słowa określają stosunek obecnej władzy do prasy opozycyjnej, ale świadczą również o tym, że władza ją czyta. Wiernymi czytelnikami „Swabody" są członkowie wszystkich partii politycznych, milicjanci, żołnierze oraz miliony Białorusinów różnych zawodów.

Ta, zdawałoby się, ogromna popularność, na ulicach Mińska nie jest wcale widoczna. W metrze z płacht papieru w rękach pasażerów wybijają się nagłówki dzienników prezydenckich: „Sowietskaja Biełorussija", „Narodnaja hazieta", a po południu „Wieczernij Minsk" — mające łącznie blisko milionowy nakład. „Swabodę", drukowaną także w niemałych ilościach (w piątek 90 tys. egz.), po kupieniu najczęściej skrzętnie chowa się do torby. Na oznaki konspiracji wskazuje również brak szyldu na budynku redakcji, gdzie wchodzących kontroluje wartownik z ochrony mienia prezydenckiego.

Od pierestrojki do Łukaszenki

„Swaboda" pojawiła się na początku lat 90., nawiązując do podziemnego tytułu z początku wieku. Na nowo założyło ją kilku „nieformałów", związanych z Białoruskim Frontem Narodowym „Odrodzenie". Początkowo ukazywała się nieregularnie — od mityngu do mityngu. Od razu jednak wokół pisma zgromadziła się młoda białoruska inteligencja z hasłami patriotyczno-niepodległościowymi. Po dwóch latach, kiedy pismo zaczęło wychodzić już raz w miesiącu, stale czytały je dziesiątki tysięcy osób. Zimą 1993 roku redaktorzy podjęli próbę przekształcenia gazety w tygodnik. Udało się to dopiero po kilku miesiącach. Białoruś właśnie pogrążyła się w kryzysie ekonomicznym. Nagle zabrakło większości towarów i surowców. Nie było też papieru, co dotknęło nawet gazety państwowe. Rząd stawał na głowie, by oficjalna propaganda nie została zahamowana. „Swaboda" takiego mecenasa nie miała. Brak papieru stał się dla niej koszmarem. Wydawcy ściągali go skąd się tylko dało — z Syberii, Ukrainy, Kazachstanu, Finlandii. Z obwodowego kombinatu wydawniczego w Mohylowie „Swaboda" wychodziła jak popadło, nieraz z tygodniowym opóźnieniem. Trudności z papierem minęły dopiero przed wyborami prezydenckimi. Pojawiły się jednak inne. Już rząd Kiebicza lubował się w procesach sądowych o zniesławienie, narażając gazetę na znaczne straty finansowe. Nowa władza — prezydencka — zaczęła stosować bardziej wyrafinowane metody. Raptem republikańskie drukarnie zostały zamknięte dla gazet niepaństwowych. „Swaboda" jakiś czas docierała na Białoruś z sąsiedniej Litwy. Kolejną kłodą, rzuconą przez prezydenta pod nogi niezależnych wydawców, stał się dekret o ponownej rejestracji czasopism. Kilka miesięcy trwała procedura biurokratyczna, zanim gazetę wpisano do rejestru. Na początku br. redakcja otrzymała nakaz opuszczenia zajmowanych pomieszczeń, mimo że umowa najmu nie przewidywała wypowiedzenia. Jakby tego było mało, zablokowano konto bankowe gazety i nasłano na nią generalną kontrolę finansową.

W tym czasie „Swaboda" nie przestała się jednak ukazywać. Co więcej — paradoksalnie, jakby na przekór trudnościom — stale się rozwijała, zaczęła wychodzić dwa razy w tygodniu, rósł też jej nakład.

Wolne słowo pod kontrolą

Redaktorem naczelnym „Swabody" jest Ihar Hiermieńczuk, opozycyjny deputowany do Rady Najwyższej poprzedniej kadencji. Do pracy ma tylko trzech dziennikarzy, fotoreportera i kilku korespondentów. Jeszcze skromniejsza jest ekipa techniczna — maszynistka i dwóch składaczy. Dopiero od dwóch lat redakcja ma znośne warunki lokalowe. Przedtem gnieździła się kątem w Muzeum Maksima Bahdanowicza. Obecna siedziba wygląda komfortowo. Dwie sale wykładowe i pokój profesorski na potrzeby gazety zostały zaadaptowane według zachodnich wzorców. Przed wejściem jest nawet barek i... akwarium. — To dla polepszenia nastroju — wyjaśnia naczelny. — Widok milczących rybek uspoka-

„Swaboda" z 1902 roku to tylko skromna ośmiostronicowa podziemna jednodniówka. Działacze z Kręgu Białoruskiej Oświaty i Kultury Ludowej wydrukowali ją na powielaczu w majątku Labiodka koło Szczuczyna. Z niewiadomych przyczyn sami zniszczyli niemal cały nakład, wszystkiego 200 egzemplarzy.

ja psychicznie. Przechodzimy do jego gabinetu w przeszklonej części hali redakcyjnej. Na biurku mnóstwo notatek, maszynopisów, rękopisów, fotografii. Ihar zaczął od wspomnień. —Jeszcze niedawno mieliśmy tylko jeden komputer i wysłużoną drukarkę laserową. Dziś dysponujemy nowoczesnym sprzętem komputerowym, mamy dostęp do agencji prasowych i Internetu.

Wspólnie przeglądamy stare roczniki. „Swaboda" od dwóch lat wygląda trochę inaczej — zmienił się układ typograficzny, zrezygnowano z „taraszkiewicy" (przedwojennej pisowni białoruskiej), pojawiły się teksty w języku rosyjskim. Hiermieńczuk tłumaczy te kroki uległością wobec czytelników. — Odbieraliśmy sygnały, że konserwatywna pisownia utrudnia czytanie. Kolumnę rosyjskojęzyczną wprowadziliśmy głównie dla publicystów nie znających białoruskiego na tyle, by móc swobodnie pisać.

Hiermieńczuk jest zmęczony, widać, że pracuje bardzo intensywnie. — Większość tekstów wymaga doszlifowania do formy obowiązującej w gazecie. Często zmuszony jestem poprawiać niektóre artykuły, sam też wiele piszę. Moje zmęczenie wynika jednak z czego innego — władza ciągle depcze nam po piętach. Ihar przerywa rozmowę i sięga do szuflady, skąd wyjmuje jakiś dokument. Okazuje się, że dwa dni temu otrzymał pisemne ostrzeżenie od przewodniczącego Komitetu d/s Druku — jeśli gazeta nie zaprzestanie publikacji godzących w interes państwa, zostanie zamknięta. Naczelny nie próbuje mi nawet wyjaśniać szczegółów. — Czepiają się nieistotnych drobiazgów, władza chce mieć monopol na informację i tyle. Naszym zadaniem, jako gazety niezależnej i opozycyjnej, jest informowanie przede wszystkim o tym, co rządzący chcą ukryć. Także oficjalne ich komunikaty interpretujemy po swojemu. Jako przykład podaje oficjalną kampanię informacyjną z przebiegu igrzysk olimpijskich w Atlancie. Władze szczyciły się liczną delegacją swego kraju, co rzekomo miało promować Białoruś w świecie. Artykuł w „Swabodzie" ujawnił rzeczywiste podłoże. Okazało się, że rząd i administracja prezydencka celowo wysłały tak dużą ilość sportowców, aby mogli do nich dołączyć „opiekunowie", rzesza działaczy i biurokratów, którym w ten sposób zafundowano zagraniczne wakacje na koszt obywateli.

Aleksander Łukaszenka ostatnio stara się kompromitować „Swabodę" w swoich przemówieniach. Nazywa ją brukowcem. — To dlatego — uważa Hiermieńczuk — że staramy się informować o życiu prywatnym prezydenta. Naszą uwagę zwrócił np. fakt, że nie utrzymuje on kontaktów z żoną. A przecież głowa państwa powinna świecić przykładem dla narodu.

Legenda prasy białoruskiej

Raz w tygodniu — w sobotę, czasem też w niedzielę — „Swaboda" użycza swoich pomieszczeń kolegom z „Naszej Niwy", drugiej gazety niezależnej, o profilu bardziej społecznym i analitycznym aniżeli politycznym. Jej redakcja mieści się w innym punkcie miasta, tu natomiast odbywa się końcowy skład każdego numeru.

„Nasza Niwa" to teraz firma z prawdziwego zdarzenia. Profesjonalności, sprawności i dynamiki działania pozazdrościć jej może niejedna gazeta z Polski. Z Siarhiejem Hareuskim rozmawiam w niedzielę. Jest bardzo zajęty, ciągle coś uzgadnia, radzi, czasem karci. To on odpowiada za produkcję numeru, który już jutro znajdzie się w kioskach. W Mińsku jest od środy wieczorem, kiedy to, jak co tydzień, razem z redaktorem naczelnym, Siarhiejem Dubaucom, przyjechali z Wilna (tam mieszkają). Tego dnia czeka na nich już większość gotowych artykułów, które maszynistki zdążyły od poniedziałku wprowadzić do komputera. Szefowie układają je w całość, przeglądają korespondencję i najświeższe materiały. W czwartek po południu nowy numer jest już w zasadzie zamykany. W piątek dochodzą jeszcze zamówione wcześniej teksty. Bywa też, że nawet w sobotę, kiedy trwa już końcowy etap — skład — wstawiane są informacje z ostatnich godzin. Ma to na celu nadanie tygodnikowi, na ile to tylko możliwe, cech aktualności.

Tak żywy charakter „Nasza Niwa" ma od marca, kiedy zaczęła wychodzić jako tygodnik. Wcześniej przez pięć lat ukazywała się raz w miesiącu, przeważnie

„Nasza Niwa" to legenda prasy białoruskiej. Jej korzenie sięgają początków wieku. Wówczas w Cesarstwie Rosyjskim ukazywało się wiele gazet, a najpopularniejsza była petersburska „Niwa", drukowana co tydzień w kilkusettysięcznym nakładzie. Grupa białoruskiej inteligencji w Wilnie postanowiła powołać równie znaczące pismo dla własnego narodu — „**Naszą** Niwę". Pierwszy numer ukazał się 23 listopada (według starego stylu — 10 listopada) 1906 roku. Gazeta wychodziła co tydzień (z przerwami) do sierpnia 1915 roku.

Początkowo była drukowana w dwóch wersjach językowych — cyrylicą i alfabetem łacińskim (od 1912 r. tylko cyrylicą). Jej redaktorami naczelnymi i oficjalnymi wydawcami były osoby, które przeszły do historii kultury i literatury białoruskiej: S. Wolski, A. Ułasau i Janka Kupała. Gazeta miała charakter społeczno-polityczny. Informowała mieszkańców białoruskojęzycznych guberni rosyjskich (w tym Białostocczyzny, należącej wtedy do guberni grodzieńskiej) o życiu ich wsi i miasteczek, lokalnych problemach oraz ważniejszych wydarzeniach ze świata. Redaktorzy dużą wagę przywiązywali do krzewienia tożsamości białoruskiej, zamieszczając artykuły historyczne i publicystyczne — wyjaśniające etniczny charakter tych ziem. Wiersze i opowiadania w języku, którym na co dzień posługiwali się czytelnicy, również przyczyniły się do wzrostu świadomości narodowej. Pismo miało więc decydujące znaczenie dla narodzin i rozwoju ojczystej literatury i oświaty. W historii Białorusi „Nasza Niwa" zapisała się jako motor kultury narodowej, którego działanie jest odczuwane także obecnie. W literaturze białoruskiej okres, w którym się ukazywała, nazwano jako „Naszaniuskaja para". Tej gazecie wiele miejsca nieprzerwanie poświęcają kolejne encyklopedie i podręczniki. Specjaliści drobiazgowo wyliczyli wszelkie kierunki ideologiczne, postawy społeczne redaktorów, posegregowali też poszczególne publikacje i korespondencje.

Encyklopedie milczą jednak na temat źródeł finansowania. Nakład średnio 5 tys. egzemplarzy, sprzedawanych po bardzo umiarkowanej cenie (czytelnicy byli biedni) oraz sporadyczne ogłoszenia na pewno nie były w stanie pokryć wszystkich kosztów. Tygodnik mógł więc się ukazywać dzięki szczodrości arystokratów (np. Magdaleny Radziwił) oraz wyrzeczeń redaktorów, którzy utrzymywali się raczej z rodzinnych majątków ziemskich. Drukarnia Marcina Kuchty w Wilnie, która drukowała „Naszą Niwę", także często ją sponsorowała. Sieć prenumeratorów wykorzystywała do sprzedaży innych pozycji — w tym podręczników i książek białoruskich.

nieregularnie. Wtedy też miała inne oblicze — była pismem intelektualnym, nie interesowała zatem przeciętnego czytelnika.

Obecnie jej nakład przekroczył 5 tysięcy egzemplarzy. „Nasza Niwa” ma podobne problemy jak „Swaboda”. Także otrzymała ostrzeżenie z Komitetu d/s Druku. Co gorsza, jeden z autorów, Sławamir Adamowicz, od pół roku jest więźniem politycznym. Koledzy obawiają się, że ich także może to spotkać.

Wolny wydawca

Wydawcą obu gazet jest Paweł Żuk. Lat 39, z wykształcenia fizyk. Niezależne media stały się jego pasją i powołaniem. Liczył też na korzyści materialne. Przed kilkoma laty próbował uruchomić prywatną telewizję. Studio, w które zainwestował duże pieniądze, drugi rok oczekuje zezwolenia na emisję swoich programów. Na razie musi zadowolić się produkcją zlecaną przez osiedlowe kablówki. Żuk nie jest żadnym „nowym Białorusinem”, czyli pieniędzy nie zdobył poprzez niejasne mafijne powiązania. Chociaż kombinował jak tylko mógł — handlował papierem, paliwami, lokował walutę u znajomych biznesmenów. Znacznej pomocy udzieliła mu emigracja białoruska, fundując wyposażenie techniczne i komputery. Ostatnio wspiera go trochę fundacja Sorosa.

W pierwszym kwartale tego roku „Swaboda” zaczęła przynosić pierwsze zyski — średnio 5 tys. dolarów miesięcznie. Żuk jest przekonany, że te pieniądze byłyby większe, gdyby gazeta ukazywała się codziennie i miała wolny dostęp do reklam. Według niego są to na razie tylko pobożne życzenia. Potwierdza to Ihar Hiermieńczuk: — Nasz zespół jest w stanie redagować dziennik, jednak samo podawanie informacji, których czytelnik nie znajdzie w mediach oficjalnych, to jeszcze za mało. Te informacje muszą być aktualne. Gazetom prezydenckim jest dużo łatwiej. Drukowane są w nocy, co oznacza, że miejsce na najświeższe wiadomości redakcja może rezerwować aż do późnych godzin popołudniowych. My takiej możliwości nie mamy, obowiązuje nas godzina piętnasta — jeśli do tego czasu nie dostarczymy matryc, następnego dnia gazeta się nie ukaże. I nie jest to uwarunkowane żadnymi ograniczeniami technicznymi. Nasza drukarnia — Białoruski Dom Druku — jest olbrzymim kombinatem, zdolnym wypuszczać miliony egzemplarzy gazet w ciągu jednej zmiany. Na druk „Swabody” razem z dziennikami prezydenckimi dyrekcja nie ma zezwolenia.

W przypadku zamieszczania ogłoszeń i reklam formalnych ograniczeń nie ma, ale trudno się dziwić firmom, że nie korzystają z łamów oferowanych im (na korzystnych warunkach) przez prasę niezależną. Zakłady i instytucje państwowe mają niepisany zakaz zamieszczania tam ogłoszeń, a spółki i osoby prywatne boją się kłopotów. Reklamodawców nie są w stanie przekonać też wyniki badań specjalistów, z których wynika, że reklama w „Swabodzie” jest skuteczniejsza niż na zatłoczonych stronach ogłoszeniowych „Narodnaj haziety”.

Ograniczenia wolności słowa są też główną przeszkodą dla potencjalnych inwestorów zagranicznych. Kapitał zachodni rynkowi prasy w Republice Białoruś przygląda się jednak bardzo uważnie. Paweł Żuk prowadzi regularne rozmowy z norweskim koncernem „Orkla”, udziałowcem m.in. kilku gazet w Polsce (w tym „Gazety Współczesnej” i „Kuriera Porannego” w Białymstoku). Te negocjacje nie są łatwe, gdyż chodzi już o duże pieniądze — wysokość połowy udziałów Żuk wycenia na 300 tys. dolarów. Nie oznacza to, że jest aż tak bogaty. Nie ma nawet majątku osobistego. Na „Swabodę” nałożono ostatnio karę finansową równowartości aż 30 tys. dolarów, chociaż, zdaniem niezależnych ekonomistów, zarzuty są banalne, wręcz drobiazgowe. Aby uniemożliwić ściągnięcie jakichkolwiek pieniędzy, Żuk postanowił formalnie rozwieść się z żoną. Teraz ironizuje, że w Białorusi wolną prasę mogą mieć tylko wolni. Chyba ma rację.

Jerzy Chmielewski

Fot. J. Osiennik

Spacerem po ścianie

Gdy rozpoczęły się tegoroczne wakacje, Marek Zięba, uczeń piątej klasy Technikum Elektronicznego w Gdańsku, ruszył w drogę. 14 października spotkaliśmy go w Gródku. Młody, niepozorny chłopak siedział w salonie u sołtysa i pił gorącą herbatę. Obok, na stole, leżały turystyczne książeczki, dowód na to, że Marek ma za sobą trasę o długości ponad 2,5 tysiąca kilometrów. Pozostało mu jeszcze ponad pięćset do Gdańska. Cały czas posuwa się wzdłuż granicy Polski. Na piechotę.

Skąd się wziął ten szalony pomysł?

Od jakichś czterech lat intensywniej kształtuję cechy swego charakteru, takie jak upór, opanowanie, cierpliwość. I postanowiłem sprawdzić, jak mi się to udaje. No to wyruszyłem dookoła Polski na piechotę. Pomyślałem, że będzie to dobry sprawdzian.

Masz dopiero 18 lat. Jak rodzice zareagowali na Twoją decyzję?

Najtrudniej było z przekonaniem mamy, ponieważ ona najbardziej bała się o moje bezpieczeństwo. Ale w zeszłym roku „udowodniłem”, że wypadki mogą zdarzyć się wszędzie, również tam, gdzie się mieszka. Niedaleko mojego domu, gdy szedłem z dziewczyną, zostałem potrącony przez samochód. Kierowca zbiegł z miejsca wypadku, a ja wylądowałem w szpitalu z połamanym obojczykiem. Aby jednak uspokoić mamę, co trzeci dzień dzwonię do domu. W ten sposób rodzice wiedzą, w jakim rejonie Polski jestem w danej chwili. Z rozmów telefonicznych dowiedziałem się, że moi koledzy robią zakłady o to, czy dojdę do domu. Nie znam szczegółów, ale słyszałem, że z tego ma być jakiś procent zysków dla mnie.

A co ze szkołą? Jest przecież październik.

Z nauczycielami w mojej szkole umówiłem się , że jak dojdę do Gdańska, będę musiał nadrobić zaległości. A poza tym trochę się ucieszyli, bo mniej afer będzie w szkole.

Na pewno lubisz mocne przygody. Który z etapów Twojej wyprawy był najcięższy?

Owszem, lubię takie przygody, które są trochę niebezpieczne. Na pewno niebezpiecznie było w górach, szczególnie na najtrudniejszym chyba szlaku tury-

stycznym w Polsce, „Orla perć" w Tatrach. Chodzi się tam po pionowych prawie ścianach, po łańcuchach. Ale bez wątpienia najcięższy był etap z Tatr do Bieszczad, kiedy non stop lało. Brnęło się wtedy po kolana w błocie.

Teraz masz raczej spokojne, nizinne etapy. Dzisiaj nocujesz u sołtysa w Gródku. Czy nie masz kłopotów ze znajdowaniem noclegów?

Bywały kłopoty, ale nauczyłem się, że nocleg należy zdobyć do zmierzchu, ponieważ ludzie boją się otworzyć drzwi, gdy jest już ciemno. Kilka razy musiałem niestety spać na przystanku autobusowym, ale zdarzyły się i ciekawsze noclegi: dwukrotnie na komisariacie policji, trzy razy w strażnicy granicznej. Przeważnie jednak nocuję u sołtysów. Ostatnio na przykład w Bondarach. Przed pójściem spać zapytałem, o której gospodarze wstają. „No, tak gdzieś o piątej to wszyscy są już na nogach" — usłyszałem. Trochę mnie to zdziwiło, bo o tej porze jest przecież jeszcze zupełnie ciemno. Ale spałem do siódmej. Generalnie przestrzegam zasady, że muszę w pełni dostosowywać się do panujących w domu gospodarza porządków.

Jak ludzie reagują, gdy dowiadują się, że idziesz pieszo dookoła Polski? Nie co dzień spotyka się przecież takich „szaleńców"?

Różnie, ale najczęściej są zdziwieni i nie dowierzają mi. Rozmawiam przeważnie z sołtysami, u których nocuję i do których zachodzę po pieczątkę do książeczki turystycznej. Pytają mnie wtedy: — Skąd idziesz? — Z Gdańska — odpowiadam. — Z Gdańska!!? Jak to z Gdańska? (tu, mówiąc obrazowo opada im nieco szczęka). Czasem ludzie myślą, że idę na przełaj. Dlatego niektórzy są nieco zszokowani, gdy dowiadują się o całej, rzeczywistej trasie. W górach, gdzie spotkałem najwięcej młodzieży, rzuciłem: kto pójdzie ze mną do Gdańska? Niestety, musiałem dalej iść sam. Często kierowcy widząc mnie zatrzymują się i proponują podwiezienie. Pewnego razu jeden z nich zatrzymał się na trasie szybkiego ruchu, tamując przejazd, m.in. TIR-om. Cóż, musiał dowiedzieć się, czemu nie chcę wsiąść do samochodu. No i trochę sobie pogadaliśmy.

Wędrujesz teraz po Białostocczyźnie. Czy nasz region wyróżnia się czymś szczególnym spośród innych na Twojej trasie?

Muszę przyznać — może to zabrzmi trochę „za gładko" — ludzie są tu bardzo życzliwi. Od dłuższego czasu nie kupuję sobie nic do jedzenia, bo jak się tylko u kogoś zatrzymam, nawet na bardzo krótko, od razu jestem karmiony. To chyba o czymś świadczy. Bardzo żałuję, że nie mogę czasami zrozumieć tego, co ludzie do mnie mówią, gdy posługują się swoją gwarą. Jest mi po prostu głupio, że oni zwracają się do mnie w swoim języku, a ja nie potrafię podtrzymać rozmowy. Tak było na przykład dzisiaj w Gródku. Przeważnie jednak rozmawiają ze mną od razu po polsku, choć muszę przyznać, że nie jest to ten język polski, który znam z Wybrzeża. Inna rzecz, którą dostrzegłem i która nie nastraja człowieka optymistycznie, to puste domy, z oknami i drzwiami zabitymi deskami. Wiele ich mijałem przechodząc właśnie przez tereny Białostocczyzny. Puste domy, jakieś walące się budynki i płoty. Poza tym białostockie wsie są stare, spotykałem przeważnie babcie i dziadków, rzadziej młodych ludzi.



Fot. J. Sulżyk

Co przed wyruszeniem w drogę wiedziałeś o Białostocczyźnie?

Zanim wyszedłem z Gdańska, przeglądałem rozmaite mapy i przewodniki, także te o Białostocczyźnie. Dowiedziałem się z nich głównie o pewnych, można powiedzieć, atrakcjach turystycznych. Najwięcej informacji o tym regionie dotyczyło prawosławia, a więc liczby jego wyznawców, obiektów sakralnych, czyli cerkwi. Przeczytałem też o muzułmanach.

A czy miałeś jakieś informacje o składzie etnicznym, o języku, który często można tu usłyszeć?

Nie, nie przypominam sobie, żebym gdzieś o tym czytał.

Teraz, gdy przeszedłeś już wzdłuż tzw. ściany wschodniej, więcej o niej wiesz...

Na pewno. Człowiek idąc poznaje dużo więcej szczegółów niż gdyby szybko mijał jakieś tereny, obserwując je na przykład zza szyby pędzącego samochodu. Choć muszę szczerze wyznać, idę bardziej z własnej, wewnętrznej potrzeby, niż dla konkretnych turystyczno-poznawczych celów. W tym sensie ważniejsze jest dla mnie poznawanie siebie, swoich możliwości, niż obserwacja otoczenia.

Ale nie można przecież iść w zupełnym oderwaniu od tego co mijasz?

Tak i dlatego doskonale pamiętam wszystko, co spotykam po drodze. Pozostają też pewne wyniesione wrażenia, choćby takie, jak te z Białostocczyzny. Na pewno zapamiętam charakterystyczny moment wchodzenia wieczorem do jakiejś wsi. Jest cicho, powoli zapada zmrok. I w ten idealny spokój wkrada się intruz, czyli ja. Przy pierwszym domu zaczyna szczekać pies i w miarę przesuwania się dalej odzywają się kolejne, tak że po pewnym czasie w całej wsi panuje ogromny hałas. Gdzieniegdzie zapalają się światła i gospodarze wychodzą z domów, żeby zobaczyć, co się stało. A to tylko ja. I bez trudu znajduję wtedy sołtysa.

Słuchasz radia, czytasz gazety?

Nie, chyba że zupełnie przypadkowo. Dzisiaj zajrzałem do kiosku w Gródku i zobaczyłem ruską gazetę.

Jaką?

Zdaje się że nazywała się „Niwa". Tyle przeczytałem, bo słabo znam rosyjski.

To białoruska gazeta.

A tak, rzeczywiście. Idę przecież wzdłuż granicy z Białorusią.

To gazeta robiona przez Białorusinów mieszkających na Białostocczyźnie.

Nie wiedziałem o tym, ale białoruskiego też nie znam wcale...

Jutro wyruszasz do Krynek, a co planujesz na dalszą przyszłość?

Na pewno będę dalej wędrował. Za dwa lata chcę pójść dookoła Bałtyku, po ukończeniu studiów, za jakieś sześć lat, jeśli znajdę sponsorów, wybiorę się pieszo dookoła Afryki. Na razie to mam inne zmartwienie. Trochę to śmieszne, ale obawiam się, że mój pies nie rozpozna mnie, gdy dojdę już do domu. Jak wychodziłem był wyrośniętym szczeniakiem. Dzisiaj pewnie jest ogromnym psiskiem. To owczarek kaukaski.

Jaką najważniejszą wiadomość słyszałeś ostatnio z mediów?

Chyba o operacji papieża.

A wiesz, że wczoraj było częściowe zaćmienie słońca?

Co? Nie zauważyłem.

rozmawiali Dorota i Jerzy Sulżykowie

Trasa Marka na Białostocczyźnie: Niemirów (tam przekroczył Bug), Adamowo, Klukowicze, Zubacze, Czeremcha, Kuzawa, Kuraszewo, Czechy Orlańskie, Witowo, Orzeszkowo, Hajnówka, Dubiny, Nowosady, Świnoroje, Narewka, Grodzisko, Planta, Lewkowo, Juszkowy Gród, Bondary, Nowa Wola, Michałowo, Pieńki, Gródek...

Irena Matus

Cierpienie stało się przeznaczeniem

Rodzina Dykałowiczów nabyła majątek Puchły kilka lat przed wybuchem I wojny światowej. Poprzednio należał on do Wincentowiczów. Posiadłość liczyła 176 hektarów, w tym sporo lasu, i drewniany dworek. Puchły kupili przede wszystkim ze względu na łąki. Pięknie położony na nadnarwiańskim wzniesieniu dom był dopełnieniem wartości majątku. Wcześniejszą posiadłością Dykałowiczów były Złotniki.

Wiele pracy kosztowało nowych właścicieli, by zainwestowane pieniądze zaczęły przynosić zyski. Okres dobrej koniunktury brutalnie przerwały wydarzenia I wojny światowej. Przyszedł tragiczny sierpień 1915 r., a z nim bieżeństwo. Dykałowicze ze smutkiem w sercu opuszczali Puchły jako ostatni. Początkowe wahania rozwiali kozacy, którzy siłą wyrzucili ich z domu. Pakowali się w wielkim pośpiechu i pod nadzorem wojska.

— Spakowany naprędce ruchomy majątek wieźliśmy na czterech czy pięciu furmankach — wspomina po latach Mikołaj Dykałowicz. — Zabraliśmy najwartościowsze i najpotrzebniejsze rzeczy. Wszystko czego zdążyliśmy się dorobić zostało w Puchłach.

Kres wędrówki nastąpił w guberni włodzimierskiej, w mieście Undow.

— Mój ojciec — relacjonuje Mikołaj Dykałowicz — był człowiekiem przedsiębiorczym. Udało mu się otworzyć sklep spożywczy. Dużych dochodów co prawda nie przynosił, ale starczało na utrzymanie licznej rodziny. Dzięki temu przetrwaliśmy do rewolucji. Ja chodziłem do szkoły.

Rewolucja i wojna domowa były okresem wielkiej próby dla miejscowych i bieżeńców. Na początku miejscowym powodziło się lepiej, jednak po kilku miesiącach wojnę domową i głód wszyscy odczuwali tak samo.

Do Puchłów Dykałowicze wrócili zimą 1919 roku. Ocalałe z wojennej pożogi zabudowania inwentarskie i dwór przywitały gospodarzy posępną pustką ogołoconych ścian.

— Ja najbardziej zapamiętałem wycie wiatru, kiedy jako dziecko z rówieśnikami bawiłem się w chowanego — wspomina Mikołaj Dykałowicz.

Z wiosną 1919 roku rozpoczął się okres ciężkiej i mozolnej pracy. Za zaoszczędzone pieniądze kupili pierwszego konia i zaczęli uprawiać, leżącą przez lata



Rodzina Dykałowiczów podczas pobytu w Rosji

odłogiem, ziemię. W następnym roku mogli sobie pozwolić na zakup dwóch krów.

Nie było mowy o pójściu do szkoły. — Wszyscy byliśmy zmuszeni pracować fizycznie na równi z parobkami. Praktycznie wszystko zaczynaliśmy od początku. Do czasu odremontowania dworku zamieszkaliśmy w czworakach, stojących naprzeciw głównej bramy prowadzącej do cerkwi. Wkrótce zaprószony przez nieuważną służbę ogień strawił go zupełnie. Rozwaliła się również stojąca nie opodal karczma. Przed I wojną dzierżawili ją Żydzi — wspomina Mikołaj Dykałowicz.

Po okresie mozolnej pracy i uruchomieniu w 1930 roku młyna, majątek powoli dźwigał się z upadku.

W latach trzydziestych w okresie najlepszej prosperity, hodowano 40 krów, 60 owiec, 30 świń i kilkanaście koni. W dworze na stałe było zatrudnionych trzech parobków i trzy służące z okolicznych wsi. Oprócz nich w sezonie letnim wynajmowano trzech pastuchów, po jednym do krów, świń i owiec. Dla rodziny Dykałowiczów były to czasy względnego dostatku, stabilizacji życiowej i spokoju. W majątku wraz z rodzicami mieszkało dwóch synów: Mikołaj i Aleksander.

— Dykałowicze — mówi Włodzimierz Naumiuk z Kaniuk — pracowali jak zwyczajni chłopi. Byli ludźmi wielkiego serca. Nasza wieś, podobnie jak pozostałe na tym terenie, leży na lichych piaskach. Pan Dykałowicz niejednemu chłopu użyczał folwarcznej ziemi pod zasiew lnu, bez którego przy naturalnej gospodarce trudno było wyżyć. Chłopi rewanżowali się pomagając przy dworze. Do dziś miejscowa ludność wspomina Dykałowiczów życzliwie i ze współczuciem.

Bardzo pracowite, ale dobre dla Dykałowiczów czasy szybko się skończyły. Nadszedł rok 1939 i wkroczyli Sowieci. Również w Puchłach rozpoczął się okres budowy komunistycznych porządków. Konfiskata majątków była niczym w porównaniu ze zbrodniczą polityką deportacji i mordów.

— Druga wojna światowa — wspomina Mikołaj Dykałowicz — dla naszej rodziny okazała się jeszcze tragiczniejsza niż pierwsza. Już w 1939 roku Sowieci aresztowali mojego ojca. Najmłodszy brat, Jan, który pracował jako kierowca rządowej limuzyny, ewakuował się ze zwierzchnikami we wrześniu 1939 roku. Bardzo niepokoiliśmy się o niego.

— Matka wyjechała do Turośni Kościelnej, do mieszkającej tam mojej siostry, Nadziei. W Puchłach zostałem z żoną i małym dzieckiem, najstarszym bratem Aleksandrem i stryjkiem. Były to bardzo ciężkie czasy. Przywoływanie ich nawet dziś wyciska łzy goryczy i żalu do swoich i obcych. Wrogość Sowietów nie ustępowała nieżyczliwości niektórych miejscowych chłopów. Było jednak wielu takich, którzy nas bronili. „Czego od nich chcecie — mówili do Sowietów — całe życie pracowali jak prości chłopi, nigdy niczego nie ukradli". Ale najbardziej skrajnego elementu, co prawda nielicznego, takie argumenty nie przekonywały. Rodziły się przecież nowe, nieznane dotychczas, nikczemne komunistyczne wartości.

— Nasze konie zarekwirowało radzieckie wojsko. Pozbawiono nas całego dobytku. Chłopi zabierali najwartościowsze przedmioty — wyposażenie domu i obejścia. Część rzeczy staraliśmy się ratować, pakując po kryjomu do kufrów lub oddając na przechowanie do życzliwych rodzin. Jak się potem okazało, nie zdało się to na nic. Część rzeczy oddaliśmy sami uczciwym chłopom, wiedząc że i tak przepadną.

Tragicznie w dziejach Dykałowiczów zapisał się dzień święta Chrztu Pańskiego w 1940 roku. — Kiedy wróciłem z nabożeństwa — mówi Mikołaj Dykałowicz — zastałem Sowietów rewidujących dom. Parobkowi mieszkającemu z nami polecono odwieźć do Bielska Podlaskiego starszego brata Aleksandra i stryjka. Z ciężkim sercem żegnałem najbliższych, jak się potem okazało, już na zawsze. Przez zimę byli więzieni w Bielsku. Jedyny kontakt z nimi mieliśmy dzięki znajomej siostry, mieszkającej w Bielsku. Ona nosiła im jedzenie do więzienia.

— My otrzymaliśmy kategoryczny zakaz opuszczania dworu. Siostrę to zarządzenie jakoś ominęło, bała się jednak do nas przyjeżdżać. Pewnego wiosennego dnia do Puchłów dotarła smutna wiadomość: wujek i Sasza nie żyją.

Aresztowanie najbliższych spotęgowało strach i poczucie niepewności. — Czuwaliśmy i nasłuchiwaliśmy dzień i noc. Nie nocowałem w domu. Na noc chowałem się w stodole i chlewie. W domu nocowała żona z małym dzieckiem. W atmosferze niepewności i lęku o życie przeżyłem w Puchłach jeszcze wiele długich i koszmarnych miesięcy.

— To, że tak długo uchowałem się we dworze, zawdzięczam młynowi. Pozostawiono mnie, gdyż tylko ja umiałem go uruchomić i obsługiwać.

Jeszcze jesienią 1939 roku miejscowi chłopi podzielili między siebie ziemię Dykałowiczów. Nie obyło się przy tym bez awantur. Za Sowietów, jak mówią potocznie miejscowi, zaczął się także wyrąb pańskiego lasu.



Mikołaj Dykałowicz (stoi drugi od lewej) ze współtowarzyszami broni świętuje zwycięstwo

Pamiętnego czerwcowego dnia 1941 roku bardzo wcześnie zjawili się we dworze żołnierze. Mikołaja Dykałowicza zastali jeszcze w łóżku.

— Tak się złożyło, że zostałem na noc w domu. Przywitali mnie ironicznie: „Wstawaj, wywieziom tiebia w druguju respubliku". W czasie rewizji, będącej w zasadzie zwyczajnym plądrowaniem domu, zabrano nam resztę ocalałych jeszcze wartościowych przedmiotów, w tym mój zegarek. Nam nakazano szybko się spakować. Żona w wielkim pośpiechu zbierała najpotrzebniejsze rzeczy. Przekonywałem ją by tego nie robiła. Byłem pewny, że za chwilę wyprowadzą nas z domu i rozstrzelają. Dopiero po jakimś czasie podjechał samochód, i wtedy dopiero upewniłem się, że rzeczy-

wiście mają zamiar nas deportować. Razem z nami wywożono jedną rodzinę z Ryboł.

Przewieziono nas do Żedni, będącej wówczas stacją pożegnań dla wielu tysięcy ludzi. Brutalnie wyrzucono na tory. Stacja nie była specjalnie pilnowana przez Sowietów, przynajmniej nie na tyle, żeby nie można było uciec. Pamiętam moment wahania. I gdyby nie to, że mieliśmy małe dziecko, pewnie byśmy uciekli.

Pociągiem dotarliśmy do Wołkowyska, gdzie wypuszczono nas na tory. Straszny łoskot i huk rozrywających się bomb darł ciszę letniego dnia. Niemcy bombardowali miasto. Rozpoczęła się wojna. Tę wiadomość przyjęliśmy z mieszanymi uczuciami: cieszyliśmy się, że będziemy wolni, jednocześnie rozpaczaliśmy z powodu nieszczęść, jakie niesie każda wojna. Pilnujący nas Sowieci kazali wchodzić do wagonów. Pociąg ruszył. Jechaliśmy w nieznane, zupełnie nie wiedząc, co z nami będzie.

Po dwóch tygodniach jazdy w nieludzkich warunkach dotarliśmy do Omska. Tam załadowano nas na ciężarówki. Wtedy wykończeni podróżą skazańcy zbuntowali się. Sowieci użyli siły. Opornych brutalnie, jak zwierzęta, wrzucano do ciężarówek, które przewoziły ich na statki. Opór był spowodowany pogłoską o rozstrzeliwaniach.

— Kiedy dotarliśmy do celu — wspomina Mikołaj Dykałowicz — zakwaterowano nas w barakach, a potem przydzielono do miejscowych rodzin tatarskich. Tatarzy nie byli nastawieni do nas wrogo, ale na ich pomoc nie mogliśmy liczyć. Sami zresztą często głodowali. Tam też spotkaliśmy potomków polskich powstańców. Przydzielono mnie do pracy przy budowie. Dzienna zapłata wynosiła 200 gram chleba.

W 1943 roku Mikołaja Dykałowicza siłą wcielono do tworzącego się na terytorium ZSRR Ludowego Wojska Polskiego. Trafił do II Dywizji im. Henryka Dąbrowskiego. Swój szlak bojowy zakończył w maju 1945 roku. Upragniona demobilizacja przyszła dopiero 15 września 1945 roku. Po powrocie zamieszkał u siostry w Turośni Kościelnej. Żona z dwójką małych dzieci dołączyła dopiero w 1946 roku. Podczas pobytu na Syberii urodził się drugi syn.

Rodzinę Dykałowiczów przygarnęła siostra pana Michała. Nieustannie jednak myśleli o Puchłach i tym, co tam pozostawili. Jednak o odzyskaniu czegokolwiek z rodowej posiadłości nie mogło być mowy. Prawowitym właścicielom majątku zakazano nawet przyjazdu i wchodzenia do dworu. Z biegiem czasu Dykałowicze zrozumieli, że majątek w Puchłach stracili bezpowrotnie. Tylko Mikołaj Dykałowicz, początkowo nielegalnie, regularnie 14 października, w dzień święta Matki Boskiej Opiekuńczej (*Pokrowy*), odwiedzał Puchły. Przyjeżdżał na nabożeństwo do cerkwi. Rozmawiał ze znajomymi, szczególnie z dawnym parobkiem Józefem Urbaniakiem.

Obecnie Dykałowicze mieszkają we wsi Lewickie. W ostatnich latach na nowo pojawiła się nadzieja odzyskania ojcowizny. Jednak wszelkie zachody wokół tej sprawy na razie pozostają bez rezultatu.

Dziś w Puchłach, maleńkiej, nadnarwiańskiej, położonej na lichych piaskach wsi, mieszkają prawie sami renciści. Młodych gospodarzy jest zaledwie kilku. Dzielona przed laty ziemia z majątku Dykałowiczów na wielu poletkach leży odłogiem. Po dawnym dworze nie pozostało już śladu. Oparł się co prawda dwóm wojnom, ale nie przetrwał „władzy ludowej". Tylko młyn, pobudowany przez Dykałowiczów w 1930 roku, tak jak dawniej miele zboże okolicznym chłopom.



Obecny dom Mikołaja Dykałowicza we wsi Lewickie

W podbiałostockiej wsi Lewickie, w małym domku, wciąż czeka na zadośćuczynienie sędziwy staruszek — Mikołaj Dykałowicz. Z rozrzewnieniem i nostalgią wspomina czasy gospodarowania w Puchłach.

Na cmentarzu prawosławnym w Puchłach spoczywają prochy panów Dykałowiczów i pracujących u nich parobków. I tylko to miejsce jednoczy wszystkich na zawsze. Ostatecznie i bezboleśnie zabierając bagaż ludzkich cierpień i doznań.

Irena Matus

Fot. ze zbiorów rodziny Dykałowiczów

Konfidenci z Gródka i okolic

Każdy naród ma swoich bohaterów. Każdy ma również zdrajców — zdolnych nawet do wydania kogoś z rodziny. Działalność konfidentów, naganna moralnie i godna potępienia, w skrajnych warunkach może być nawet zbrodnicza, a Białorusini nie są tu wyjątkiem.

Niepodległościową konspirację białoruską z pierwszej połowy lat 20. na Białostocczyźnie wydał naczelnik powiatu sokólskiego Edward Lenkiewicz. Aresztowania zmusiły nieprzygotowanych do wybuchu powstania konspiratorów z powiatu bielskiego do wystąpienia zbrojnego (tzw. partyzantka Hermana Szymaniuka ps. „Skomoroch"). Część ujęto z bronią w ręku i rozstrzelano. Białoruski poseł na Sejm RP Szymon Jakowiuk, wybrany w 1922 roku w powiecie bielskim, by uniknąć aresztowania wyemigrował na Litwę.

Zainteresowani okresem międzywojennym znają zapewne postać Jakuba Strelczuka z Krzywej w gminie Bielsk Podlaski. Ten członek Komunistycznej Partii Zachodniej Białorusi, zwerbowany przez polską policję polityczną, swoimi donosami posłał do więzienia wielu uczciwych ludzi. Podczas okupacji hitlerowskiej kolaborował z Niemcami, przyczyniając się do śmierci wielu Białorusinów. To tylko dwa przykłady „wielkich" zdrajców.

Na Białostocczyźnie w okresie międzywojennym społeczność białoruska pozostawała pod specjalnym nadzorem polskiej policji politycznej. Werbowanie donosicieli było jednym ze sposobów penetracji przede wszystkim nielegalnie działającej KPZB. W praktyce jednak było skierowane przeciwko wszystkim Białorusinom — zgodnie z założeniami ówczesnych władz „elementowi wrogiemu" wobec państwa polskiego. Kolejne rządy II Rzeczypospolitej, nie potrafiąc rozwiązać podstawowych problemów społecznych, stosowały represje. Zakazywano działalności organizacji białoruskich, a najaktywniejszych działaczy

zamykano w więzieniach. Poprzez eliminację z życia politycznego elit pozbawiano społeczność białoruską warstwy przywódczej, co przyczyniło się do jej dezintegracji. Była to bardzo prosta droga, prowadząca wielu młodych Białorusinów do nielegalnej KPZB.

Niżej publikujemy fragment protokołu przesłuchania Adama Półtorzeckiego (ur. w 1897 r. w Mińsku Mazowieckim), przeprowadzonego w 1950 r. przez funkcjonariusza Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Białymstoku, które pokazuje metody pracy policji politycznej w powiecie białostockim w latach 30. Sprawa dotyczy współpracy konfidentów z gminy Gródek z Adamem Półtorzeckim, kierownikiem referatu śledczego Komendy Powiatowej Policji Państwowej w Białymstoku. Fotokopia dokumentu znajduje się w zbiorach Archiwum Państwowego w Białymstoku.

Sławomir Iwaniuk

Pytanie *[funkcjonariusza Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Białymstoku E. Mackiewicza]: Według waszych danych w jakich miejscowościach pow. białostockiego była rozwinięta Partia Komunistyczna?*

Odpowiedź *[A. Półtorzecki]: Na terenie powiatu białostockiego w najsilniejszym stopniu był rozwinięty ruch komunistyczny w gminie Gródek, poza tym dość silny był w gminach Michałowo, Zabłudów, Supraśl, Czarna Wieś, Choroszcz, Trzcianne, Goniądz, Jasionówka i Starosielce.*

Pytanie*: Wymieńcie nazwiska konfidentów pracujących po linii ruchu komunistycznego na terenie gm. Gródek, scharakteryzujcie ich pracę oraz procesy sądowe przeprowadzane na podstawie dostarczonych przez nich materiałów.*

Odpowiedź*: Na terenie gm. Gródek posiadałem 5 konfidentów, t.j. w m. Gródek był Stanisławski Hersz, narodowości żydowskiej, pracował w roku 1932 w Urzędzie Gminnym jako zbieracz podatków, rocznik około 1902-1905. Dostarczał materiały odnośnie członków KPZB, którzy już byli karani względnie zatrzymywani przez tych, którzy z wymienionymi utrzymywali bliższe stosunki. Materiały dostarczone przez niego nie mogły służyć do realizacji spraw, ponieważ nie były dostateczne. Utrzymywałem z nim kontakty od roku 1934 do 1935, ponieważ w tych latach w/w przeniósł się na inny teren. Poza tym na terenie m. Gródek był konfidentem Dziermański Aleksander, narodowości białoruskiej, rocznik około 1900, pracował na tartaku w Waliłach, b[ył] czł[onkiem] Towarzystwa Szkoły Białoruskiej. Został zwerbowany przeze mnie w związku z aresztowaniem go w czasie strajku, lecz jakiego nie przypominam. Materiały dostarczone przez niego w większej mierze dot[yczyły] Towarzystwa Szkoły Białoruskiej, odnośnie ruchu komunistycznego informacji dawał bardzo mało. Od współpracy cały czas uchylał się, kontakty z nim odbywały się rzadko, przez miesiąc, dwa, a nawet i przez trzy miesiące, zaś w roku 1936 czy też 1937 łączność z nim zupełnie zerwałem. Od tego czasu w m. Gródek konfidentów nie posiadałem.*

Na terenie gminy miałem konfidenta we wsi Kołodno nazwiskiem Cechnowicz, imienia nie pamiętam, wiekiem starszy ode mnie, był czł[onkiem] Towarzystwa Szkoły Białoruskiej, posiadał drobne gospodarstwo rolne i trudnił się krawiectwem, wzrostu niskiego, twarz lekko ospowata, zarost ciemny. Materiały dostarczał odnośnie działalności członków KPZB na terenie wsi Kołodno oraz sąsiedniej wsi Załuki. Na podstawie jego materiałów została przeprowadzona rewizja u czł[onka] KPZB Grycuka zam[ieszkałego] we wsi Załuki, gdzie w zabudowaniach znaleziono nielegalną wówczas literaturę. Grycuk miał wówczas lat około 28, wzrost wysoki, prawdopodobnie był czł[onkiem] Towarzystwa Szkoły Białoruskiej. Po przeprowadzeniu rewizji został zatrzymany, jednak w drodze do posterunku w Gródku, gdy prowadzący go policjanci zatrzymali idący w kierunku Gródka samochód, wówczas przez nieznanych osobników zostali ostrzelani, szofer był ranny, a Grycukowi udało się zbiec. Po tym wypadku Cechnowicz przez kilka miesięcy nadal udzielał informacji, lecz były o bardzo wąskim zakresie i łączność z nim zerwałem. W międzyczasie zwerbowałem do współpracy Szeremetę Jana i dałem mu ps. „Kolski". Werbunek odbył się na podstawie, iż w/w był podejrzany o przynależność do KPZB, pochodził on ze wsi Radulin i dostarczał materiały o młodzieży komunistycznej i starszych czł[onkach] KPZB. Na podstawie jego informacji jesienią 1935 roku przeprowadzono aresztowania w północnej części gm. Gródek, gdzie zostało zdjętych kilkadziesiąt osób, z których kilkanaście było skazanych wyrokiem sądowym od roku z zawieszeniem do lat 4. Po roku czy też po dwóch, dokładnie nie pamiętam, przyczynił się on do ponownego aresztownia kilkudziesięciu osób, z których około 22 było skazanych na karę więzienia od 6 do 8 lat. W niedługim czasie po rozpracowaniu w/w grupy konfident „Kolski" został powołany do czynnej służby wojskowej i od tego czasu łączność z nim zerwałem. Poza tym miałem jednego konfidenta we wsi położonej o kilka kilometrów od Gródka w kierunku Michałowa, prawdopodobnie Dzierniakowo. Mieszkał on niedaleko Chrzanowskiego Władysława, który w roku 1935 względnie 1936 był sekretarzem Rej[onowego] Komitetu partii komunistycznej w Gródku (tak podawał urząd śledczy na podstawie [informacji] konfidencjonalnych). Konfident ten nazywał się prawdopodobnie Chrzanowski Jan ps. „Michalski" względnie „Michaluk", lat wówczas miał około 30-32, wzrost wysoki, blondyn, twarz pociągła, nosił małe wąsy. Materiały dostarczał odnośnie Towarzystwa Szkoły Białoruskiej oraz czł[onków] partii komunistycznej z terenu m. Gródek i okolicznych wsi, a w szczególności o kontaktach Chrzanowskiego Władysława, ponieważ pod niego był zwerbowany. Materiały przez niego dostarczone bezpośrednio nie przyczyniły się do wszczęcia dochodzenia, były jednak wykorzystane w czasie ostatnio wymienionego dochodzenia t.j. jesienią 1936 względnie 1937 roku. Przez wymienionego konfidenta Chrzanowskiego rozpracować nie udało się, ponieważ konfident ten nie miał dostępu, a po drugie Chrzanowski Władysław po pewnym czasie z terenu gm. Gródek wyjechał. Charakteryzując pracę konfidenta stwierdzam, że początkowo do współpracy podchodził chętnie, w miarę możliwości wykonywał wszystkie zadania, na kontakty przychodził mniej więcej punktualnie, lecz po aresztowaniach, które były jesienią 1936 roku czy też 1937 roku, od współpracy zaczął się uchylać i materiały dawał coraz to skąpsze, w związku z tym po pewnym czasie kontakt z nim zerwałem.

Pytanie*: Którzy z w/w konfidentów byli przez was opłacani i jakie wynagrodzenia otrzymywali?*

Odp[owiedź]*: Opłacani konfidenci to byli: Szeremeta Jan otrzymywał od 50 do 70 zł miesięcznie. Chrzanowski ps. „Michalski" otrzymywał tylko w czasie kontaktu 20-30 złotych, zależnie od posiadanych [przez policję] środków i dostarczonych materiałów. Stanisławski od roku 1934-1935 otrzymywał dorywczo od 20 do 30 zł jako zwrot wydatków, Cechowicz otrzymywał tylko kilka razy po 30-40 zł, zaś Dziermański zapłaty odmówił i nie pobierał wcale.*

Helena Głogowska

Zapomniany poeta

Z Michałowem łączą mnie szczególne więzi. Jaryłówka — moja rodzinna miejscowość — znajduje się wprawdzie w sąsiedniej gminie, ale z dzisiejszej perspektywy, gdy los rzucił mnie aż na Wybrzeże, to miasteczko, zwane niegdyś Niazbodka, jest mi tak samo bliskie. Tym bardziej, że spędziłam tam cztery lata, ucząc się w ogólniaku.



Fot. ze zbiorów Jerzego Turonka

I oto niedawno, wertując słownik biograficzny „Biełaruskija piśmienniki", przy nazwisku Janki Byliny (w rzeczywistości Jan Siemaszkiewicz) przeczytałam, że *u aposznija hady żyu u Michałowie-Niazbudnym kala Biełastoka (Polszcza)*. Stało się to dla mnie inspiracją do poszukiwań śladów tego człowieka.

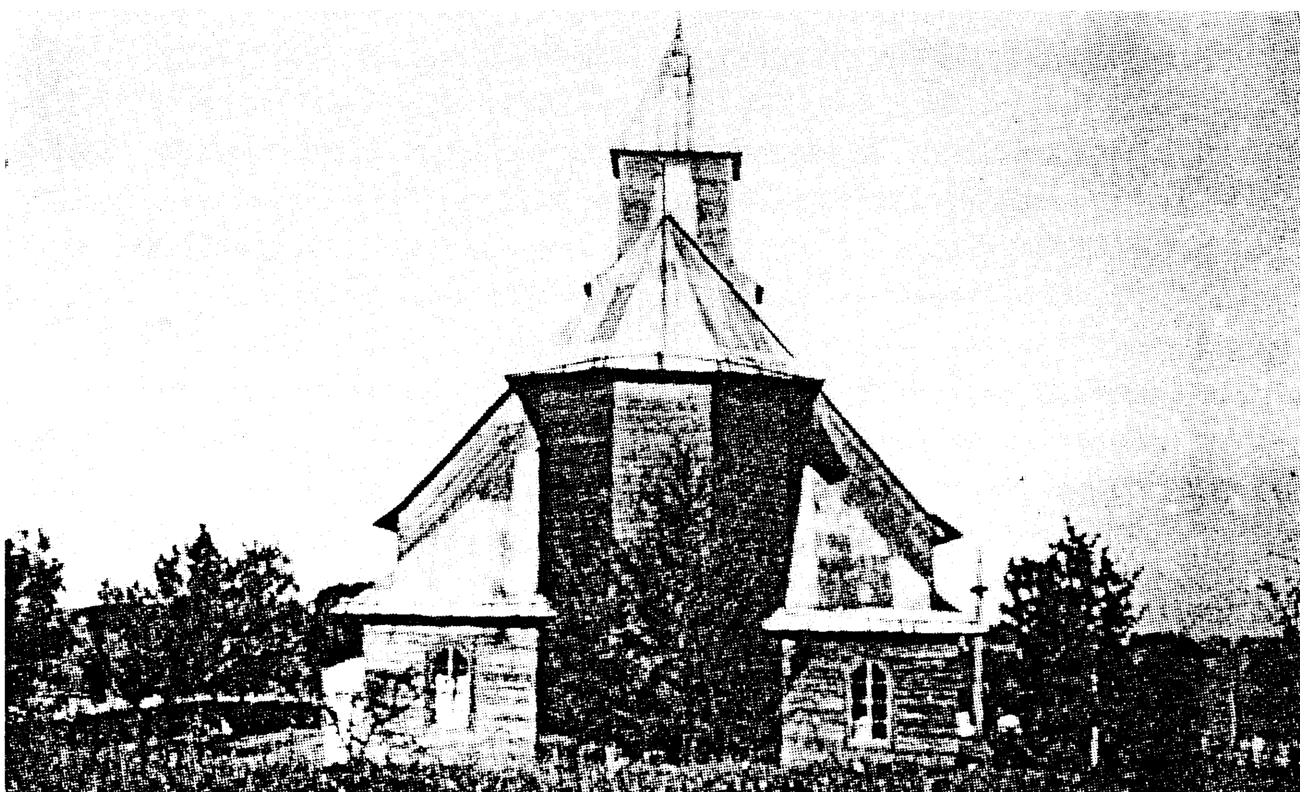
Skontaktowałam się z Jerzym Turonkiem z Warszawy, moim starszym przyjacielem i niedościgłym autorytetem z dziedziny historii literatury białoruskiej. — *Niczoha padobnaha* — skomentował notatkę ze słownika — *Siemaszkiewicz pamior niedzie pad Sakołkaj*. Później, gdy przejrzał u siebie materiały na ten temat, odpowiedział bardziej precyzyjnie: — *Siemaszkiewicz pamior u Bombli.*

Kraina pobożności

Bombla leży na trasie Białystok – Janów. Aby mieć jak najwięcej czasu na poszukiwania, w nieznane mi okolice wybrałam się wczesnym rankiem. W autobusie z radia dolatywała gorąca dyskusja na temat zakazu sprzedaży czasopism pornograficznych. Za szybą mój wzrok przyciągały bardzo liczne krzyże i kapliczki, których w takich ilościach nie spotkałam jeszcze w żadnym regionie. Stały niemal przy każdym domu, drzewie i skrzyżowaniu. Sprawiało to wrażenie, jakbym poruszała się po wielkiej świątyni, gdzie panuje wyjątkowa pobożność.

Kościół udało się odszukać bez problemów. Ze wzgórza między Bomblą a Przesławką, spośród szarych wiejskich zabudowań, już z daleka wyróżniał się nowoczesną architekturą. Zdziwiła mnie oficjalna nazwa: Parafia Rzymskokatolicka Marianowo. Takiej miejscowości tu przecież nie ma. Jak się potem okazało, nazwa pochodzi od imion dwóch księży-przyjaciół — Mariana (Jacewicza) i Jana (Siemaszkiewicza). Najpierw stał tu stary drewniany kościół, który został przeniesiony do Grabówki k. Białegostoku. Parafianie z obecnym proboszczem wybudowali murowany, o kosmicznym wyglądzie.

Ksiądz był bardzo zdziwiony, gdy zapytałam, czy tu zmarł Jan Siemaszkiewicz. — *To oczywiste, przecież wszyscy o tym wiedzą.* Poza białoruskimi literaturoznawcami z Mińska — pomyślałam w duchu, biorąc do rąk podsuniętą mi książkę „Historia parafii Marianowo, dekanat knyszyński, od założenia do roku 1987". Monografia została opracowana przez mgr Helenę Tryznę w czterdziestolecie parafii. Ta niezwykle cenna praca zawiera też wspomnienia o ostatnich latach życia białoruskiego księdza i literata Janki Byliny, bo takim pseudonimem Jan Siemaszkiewicz podpisywał swoje utwory.



Na odwrocie zapis: „w. Bombla, pav. Sakołka. Kaścioł pabudavany ks. J. Simaškievičam"

Fot. ze zbiorów Jerzego Turonka

Bez pozwolenia

Mieszkańcy Bombli jeszcze w okresie międzywojennym domagali się powołania oddzielnej parafii i zezwolenia na budowę własnego kościoła, bo do Korycina było im za daleko. Starania te nie przynosiły rezultatów. W czasach okupacji niemieckiej mieszkańcy postanowili swoje marzenie zrealizować samowolnie. Przyczyniło się do tego pewne „niezwykłe" zdarzenie. W 1942 r., w wigilię Trzech Krzyży, we wsi Niemczyn wybuchł pożar. Ludzie biegli na wzgórze oglądać palące się zabudowania. Na polu Jana Jurkowskiego ktoś znalazł, pomalowany na biało, drewniany krzyż z figurą Pana Jezusa. Pojawienie się krzyża okrzyknięto cudem. Jeden z mieszkańców Przesławki opowiedział mi, jak było naprawdę. — *Szliśmy na wzgórze na kolanach, a śniegu było po pas. Ojciec obudził nas raniutko. Tłumy ludzi z całej okolicy pełzły na miejsce objawienia... Pani, to nie był żaden cud. To trzech takich przyniosło krzyż z cmentarza grzebalnego w Jasionówce na pole Jana Jurkowskiego. Myśleli, że gdy ludzie go znajdą, to uznają to za ingerencję sił nadprzyrodzonych, co ich przekona do budowy w tym miejscu świątyni.* Nie mylili się. W 1943 r. zmarł Jan Jurkowski. Nie miał dzieci, więc swoje pole zapisał na rzecz kościoła. W miejscu rzekomego cudu szybko wybudowano kapliczkę. Rok później w Bombli powstał komitet budowy kościoła z prezesem

Janem Mrozem. Architekt Eugeniusz Gryblewski opracował projekt i już w październiku 1944 r. mieszkańcy okolicznych wsi rozpoczęli prace przy wznoszeniu fundamentów.

Budowano bez zgody władz kościelnych. Największym przeciwnikiem był proboszcz parafii w Korycinie. Utrata części wsi do niej należących oznaczała lżejszą tacę na mszy.

Uroczyste poświęcenie kamienia węgielnego odbyło się bez udziału kapłana. — *Sami wybudowaliśmy swój kościół. U nas tu las dookoła, a wszyscy tutejsi mieszkańcy to cieśle i stolarze* — powiedzieli mi parafianie.

Z opowiadań mieszkańców wynika, że nie ustawali w zabiegach o legalizację swego świętego przedsięwzięcia. Kościół mogli wybudować bez pozwolenia, takie były czasy, ale o księdza trzeba było starać się drogą oficjalną. Kandydata znaleźli sami — zaprosili do siebie Jana Siemaszkiewicza, proboszcza z Michałowa. Z bliżej niewiadomych względów zgodził się do nich przyjechać i złożył wniosek do arcybiskupa o przeniesienie do Bombli, dołączając się do próśb mieszkańców o erygowanie nowej parafii. Decyzja zapadła 5 stycznia 1946 r. Dekretem arcybiskupim nr 30/46 ksiądz Jan Siemaszkiewicz został mianowany rektorem budującego się kościoła i tworzącej się parafii, w skład której weszły wsie: Bombla, Łoginiewicze, Brody, Wojtachy, Zdroje, Jezierzysk, kolonia Osierodek, Łomy, Niemczyn i Przesławka. Pierwsze nabożeństwo odbyło się 2 lutego 1946 r. Nowy proboszcz początkowo mieszkał w Przesławce, u państwa Klozów i ich sąsiadów. Stale pomagał w pracach budowlanych. 29 września 1946 r. ksiądz prałat Adam Abramowicz, proboszcz z kościoła św. Rocha w Białymstoku, poświęcił kościół pw. Niepokalanego Serca Maryi. W tym dniu



Nowy kościół w Marianowie

Fot. H. Głogowska

przybyła również misja z Gródka z ks. Marianem Jacewiczem. Za zgodą arcybiskupa i proboszcza Jana Siemaszkiewicza ksiądz misjonarz zmienił nazwę parafii z Bombli na Marianowo. Interpretuje się to dwojako — ze względu na maryjny tytuł kościoła oraz jako połączenie imion pierwszego misjonarza i pierwszego proboszcza.

Jan Siemaszkiewicz robił wszystko, aby wyposażyć kościół. — *Miał kontakty w ministerstwie, latał samolotem na Śląsk* — wspominają parafianie. Mimo że był już w podeszłym wieku, odznaczał się stanowczością i konsekwencją, starał się uczestniczyć w życiu okolicznych wsi, często odwiedzając mieszkańców. Służył radą ludziom schorowanym i cierpiącym. Potrafił leczyć ziołami, mówiono więc o nim — „doktor duszy i ciała". Sam ze zdrowiem miał jednak coraz większe kłopoty, żył z jednym płucem.

18 lutego 1956 r. nie wyszedł na poranną mszę. Ludzie, którzy przyszli do kościoła, zaczęli się niepokoić. „Co się stało? Czyżby zaspał?" Po włamaniu się na plebanię okazało się, że ksiądz nie żył. W pogrzebie, mimo dużego mrozu i śnieżnych zasp, uczestniczyli niemal wszyscy parafianie. Zgodnie z ostatnią wolą zmarłego, nie składano kwiatów, nie było przemówień. Uroczystość żałobna przebiegała w atmosferze powagi i spokoju. Jan Siemaszkiewicz nie chciał, aby murowano mu grobowiec, trumnę wpuszczono wprost w zamarznięty piach przy kościele. Kilka miesięcy później na jego grobie parafianie postawili pomnik, który stoi do dziś — obecnie przed nową świątynią.

***

Układając chronologicznie wszystkie zebrane informacje — od mieszkańców, księdza i z monografii pani magister — uświadomiłam sobie, że zimą br. niepostrzeżenie i bezwiednie minęła 40. rocznica śmierci Janki Byliny. 17 lutego br., razem z białoruskimi dziećmi uczestniczącymi w „Sustreczach «Zorki»", wybraliśmy się na wycieczkę po gminie Michałowo. Odwiedziliśmy m.in. Jałówkę, gdzie (całkiem przypadkowo) zaszliśmy do kościoła, w którym ks. Jan Siemaszkiewicz od 1937 r. był proboszczem. W ciągu bardzo krótkiego pobytu nie udało mi się ustalić, jak długo tam był i dokąd trafił później. Tylko zbieg okoliczności sprawił, że w przeddzień 40. rocznicy śmierci księdza-poety znaleźliśmy się w miejscu, gdzie stąpał ten człowiek. Niestety, ślady jego białoruskości zostały zatarte. A przecież, będąc w Jałówce, publikował swoje wiersze w dziecięcym czasopiśmie „Praleski" pod pseudonimem Janka Jaławiec.

Uświadomiłam sobie też, że nikt nie wie, że na ziemi sokólsko-michałowskiej kresu swych dni dożywał białoruski poeta — autor zbioru wierszy „Na pryzbie", dramatu „Vybary staršyni", zbioru bajek „Na pokuci". Nie wiedzą o tym ani miejscowi, ani nawet świadomi Białorusini. Ta postać także mi dotąd nie była znana. Okazuje się, że poza Jerzym Turonkiem z Warszawy, zapomniano o nim zarówno w Polsce, jak i w Białorusi. Wydaje się, że przyczynił się do tego sam poeta, który pod koniec życia był już tylko katolickim księdzem, chociaż wyróżniającym się i zasłużonym dla swego Kościoła. Sądząc z rozmów z mieszkańcami okolic Bombli, z których wielu do dziś rozmawia „po prostu" (po wojnie język polski był tu rzadkością) — z niewiadomych przyczyn ukrywał on swoją białoruskość. I to skutecznie, gdyż do dziś nikt go nie rozszyfrował. Jednak pozostawił po sobie twórczość, która dla kultury i literatury białoruskiej jest cenna. I tego nie można zapomnieć.



"Vybary staršyni" w wykonaniu kółka dramatycznego Białoruskiego Kominterna w Warszawie (3 XI 1940)

Fot. ze zbiorów Jerzego Turonka

Poszukiwacze zaginionej gwiazdy

Tymofiej Pikutin najpierw nauczył się pracować, bo na wsi najważniejszy jest sztywny kark, mocne, czerstwe ręce — z tego jest chleb. Później nauczył się pisać. Kreślił polskie litery, chociaż myślał po rusku. Do szkoły chodził tylko dwa lata. Tamtego września okazało się, że najważniejsza na świecie jest wojna. Przeżył zabijanie, a później jeszcze pięćdziesiąt, przeważnie chudych, lat. Teraz już prawie nie pracuje, zdrowie upomniało się o swoje. Jedna chęć mu pozostała — pisze.

„Przeżycie obywatela Pikutina Tymofieja, poniewierane, cierpliwe i popierające ludność wsi Dasze i gminy Kleszczele.

Urodziłem się w 1929 roku w Daszach. Moja rodzina była siedmioosobowa: ojciec, matka, dwie siostry, dwóch braci i ja trzeci. Z pochodzenia — rolniczego, urodzenia — przy rodzicach w Daszach, do obecnej chwili i przyszłej śmierci. Myślę, że też w Daszach. Opiszę i stwierdzę swoje przeżycie, jak było i co widziałem w tym przeżyciu swoim..."

— Dwa dni by trzeba czytać, żeby skończyć. I po kieliszku wypić, tak u nas trzeba — Pikutin zamknął pamiętnik.

— Przestań ty, dureń — obruszyła się Pikutinowa. — On tak zawsze, wygaduje sobie coś pod nosem, a potem zapisuje. Ty może i napisał, że na piecu się urodził. Pan śmiać się będzie.

— A gdzie miał się urodzić, porodówki nie było. Ty nie rozumiesz, a inny zrozumie — Pikutin zamknął żonie usta i znów otworzył zeszyt.

Życie zapisał na stu stronach. Zaczął od 1936 roku, wcześniejszego żywota nie spamiętał.

— Chodzili my do szkoły w Kośnej. Dwa lata do polskiej. Potem był 1939 rok i ta wojna — nie wojna. Wyglądało to nie wiadomo jak — jest wojna i już koniec wojny. Władzę objęli Ruskie.

Przesadzili nas do trzeciej klasy. Potem w 1941 roku znów wojna.

W 1945 zwyciężyła niezwyciężona. W Daszach Pikutin odniósł swoje zwycięstwo — został strażakiem, o czym marzył za sanacji. Ochotniczym. Przed wojną była Straż Ogniowa a nową, od czerwonej władzy pochodzącą, nie wszyscy we wsi lubili. Jednak Pikutin ochoczo kontrolował chłopskie zagrody pod względem bezpieczeństwa pożarowego. Wtedy też po raz pierwszy poczuł, że urodził się pod złą gwiazdą.

Po wojnie likwidowano na polach szachownicę, w 1948 robili pomiar gruntów. Ziemię dostał niekiepską — trzecia klasa. Później hektary przeliczyli na podatki. Niektórzy dostali wyliczenie — kwintal za metr. Jego metr zrobił się krótszy o połowę, bo ziemię miał za dobrą. Płacił więc jak kułak, chociaż w stodole czasem i mysz by się nie nażarła.

— On takie szczęście ma niedobre — ożywiła się Pikutinowa. — Całe życie my wszystko robili tylko z tych pięciu palców, samo się nic nie udawało, jak innym. I co nazbieramy, to wiaterek rozdmuchuje. U niektórych jest tak, że krowa na dwoje cieląt się ocieli, a u nas nigdy... Żyli, żyli i niczego nie nażyli.

Nawet gospodarkę Pikutinowie oddali rządowi, bo nie było komu zostawić.

— Tak państwo zagaiło sprawę, że jak syn czy córka pracował w zakładzie, to nie mógł mieć na siebie ziemi. I moje dzieci się bali — co z tego, ojciec, mówili, że weźmiem ziemię, jak kuroniówkę zabiorą. A innym się udawało, do dziś pracują i mają po trzydzieści hektarów.

W 1989 zdali ziemię i wiatr znowu dmuchnął w oczy. Podatek trzeba płacić za własną chałupę, jakby mieszkali w bloku. I na psa nałożyli opłatę jak miastowym, sto tysięcy. Widocznie jak nie ma gospodarki, to i sobaka zbytkowna rzecz. We wsi tylko oni płacą za szczekanie. Jeden rencista też ziemię przepisał na syna, ale za swoje psy nie płaci, bo chociaż syn siedzi na stałe w mieście, to według prawa ziemia ma właściciela. Pies więc za darmo.

Pikutin rozumie, że wszystko w życiu zależy od urodzenia. Jak jeden wyżej podskoczy, to zaraz swego ciągnie. A z jego rodu nikt nie podskoczył. Dla biedniaków zawsze tylko bieda zostanie.

— Jeden tak mnie raz powiedział: Niech będzie ktoś najmądrzejszy i najuczoniejszy, ale jak za plecy nie ma kto potrzymać — do nieczego nie dojdzie. Ja nawet we wsi chyba jestem za słaby i za mały dla innych, bo traktora nie mam. Zajdę do zlewni, słyszę, tylko o śrubach, maszynach rozmawiają.

Pikutin jednak nie narzeka. Wie, że takie czasy — prywatyzacja. Każdy pracuje, ale dla siebie. Jak trzeba coś wspólnie zrobić — chłop staje się garbaty. A on przez pół wieku był pierwszy do czynów. Remizę budował, szkołę, sklep, walczył o drogę. I pisał do wójta, burmistrza, sekretarza... Dwie klasy podstawówki wystarczyły, żeby zrozumiał moc słowa pisanego. Na stare lata częściej macha piórem niż kosą.

Pikutin wie, że w życiu trzeba cicho pracować, a władzy głośno dziękować. Nie tylko w swoim imieniu.

Z okazji dorocznego spotkania Ochotniczej Straży Pożarnej w Daszach w grudniu 1995 roku napisał do lokalnego kleszczelowskiego pisma: „Podczas otwarcia remizy w 1972 roku strażacy zadawali pytanie, czy będzie w Daszach większy samochód strażacki. Obiecano żuka z pompą, i tak było. Większy przewiduje się w przyszłości, powiedzieli. I czekanie spełniło się — po 23 latach. 12 czerwca 1995 władze pozwoliły na większy samochód. Za taką życzliwość trzeba dziękować (...) władzom wojewódzkim, straży pożarnej, władzom miasta i gminy..."

Wniosków i podań ma całą szufladę. Także ten, spisany w 1986 roku.

— Teraz inny czas, może go lepiej nie wyjmować, a to przyjdą i zastraszą?

„Do Naczelnika gminy Kleszczele. Droga dasze — Rogacze potrzebuje poprawy i godności... Żołnierze radzieccy i polscy pod kierownictwem m. Rokossowskiego forsowali tę drogę bagnistą, rżnęli sosny, układali bale na niej. Mój pomysł jest taki, że warta ta droga godności pod nazwą „Droga K. Rokossowskiego". Stwierdzam swój wniosek z odwagi niskiej. Podpisano: Pikutin T."

— On z urodzenia taki społeczny, nawet medalem go odznaczyli. I nic z tego nie ma — Pikutinowa pochwaliła i zganiła zarazem. — Inny to chociaż coś na boku zakręcił.

Pikutin mówi, że politycznym nigdy nie był, a dziewiętnastego września, w roku wyborczym do Sejmu, całą swoją politykę zmieścił na jednej kartce. Spisał „Głos wyborczy".

„Głos mój niski, ale życzliwy i popierający przyszłość Dasz i miasta Kleszczele... Myślę wyrazić swoje podziękowania dla władz byłych i pozostałych, i dla nowo wybranych. Życzyć lepszych życiowych postępów w Kraju Polskim, dla ludności starszej i młodszej... Dla wsi Dasze potrzebny wygląd uliczny, dokończenie drogi asfaltowej, ażeby wieś nasza nie była ostat-

nia, a plan wykonany, jak wiadomo to poparcie dla ludzi i władz. Dalej mój głos nadaje myślenie, ażeby żywność była tańsza dla ludzi, zlikwidowane odłogi, a produkcja odbierana po cenach opłacalnych..."

— Dla mnie niech i diabeł sam rządzi, ażeby praca była, chleb i pieniądze.

Pikutinowi tylko roboty w życiu nie brakowało.

— Widzi pan, jako ten nasz konik, co przy chlewie stoi? Cały w gównie jest. U innych konie aż błyszczą. I czemu to tak? Przecież pilnuje się, podściela, owies daje, a i tak gówno nawet na uszach. Po chlewie biega jak szalony, jakby coś go gnało. Morduje się jak i my...

Pikutinowie wyjaśnienia szukają w niebie.

On urodził się pierwszego maja, ona siódmego. Nie wiedzą, jaka jest ich planeta urodzenia, a to pewnie przez nią tak cierpią, bo trafiła się nieszczęśliwa. Napisali nawet list do gazety z prośbą o wyjaśnienie, ale w gazecie też chyba nie wiedzą — nie odpisali.

— Gadają w telewizji o tym, kto kiedy urodzony i jak mu w życiu będzie, a my nie spotkali planety, co oznacza pierwszy i siódmy maja. Pewnie przez to, że nie zdążymy na czas włączyć telewizora.

W pamiętniku Pikutina jest jeszcze miejsce na tę mnajważniejszą wiadomość.

Reportaż nadesłany na konkurs „Białoruskie pejzaże" (Godło „Pik")

Jerzy Sulżyk

Medal carycy Katarzyny

Ojciec często opowiadał mi rozmaite historie ze swego dzieciństwa. Może dlatego, że sięgał we wspomnieniach niemalże do narodzin własnej świadomości, były one tak gęsto wypełnione szczegółami. Po co to wszystko przechowywał? I jak to możliwe, że ja mu wierzyłem, a nawet byłem pewien, że mówi prawdę? Chyba słowa, które wypowiadał, sięgały gdzieś głębiej niż tylko do tego miejsca w człowieku, co nakazywało nadać zdaniu logikę. Chyba musiały przewiercać się korzeniami już poza kontrolowane obszary. I tworzył on wokół siebie jakąś głębię czasową, w której wszystko naraz mogło zaistnieć równocześnie.

On lubił opowiadać, ja słuchać.

— Był u nas we wsi jeden *dziadźko.* Zbierało się przy nim zawsze mnóstwo dzieciaków. On siadał wygodnie, skręcał papierosa i takim łagodnym głosem opowiadał. I co chwila przerywał, zawieszał głos, żeby zaciągnąć się głęboko dymem. Czasem trwało to i parę godzin, bo dzieciaki stale o coś go pytały, a ten chętnie odpowiadał. Wyganialiśmy paść konie z rana i czas jakoś szybciej mijał, kiedy go słuchaliśmy. Pamiętam, że nie miał dwóch palców prawej dłoni. „Straciłem je na wojnie" — mówił. „Szła na nas niemiecka kawaleria. Ja jednego Niemca bagnetem chciałem zdjąć, a ten jak zamachnie się... I bach mnie szablą, prosto w dłoń. Palce odleciały, jak gotowane marchewki. Krew lała się po dłoni, karabin był cały czerwony, ale sięgnąłem go, nie darowałem". „I nie bolała cię ręka, *dziadźku*?" — pytaliśmy. „Bolała, a jakże, tylko później. W bitwie nic nie czułem. Oj, wiele krwi wypłynęło wtedy ze mnie."

Staliśmy dookoła niego z rozdziawionymi ustami, tak słuchaliśmy, a jemu słów nigdy nie brakowało. „Po tej bitwie — mówił dalej — caryca Katarzyna osobiście przypięła mi medal. Co to była za uroczystość! Wszystko nowiutkie, błyszczące, orkiestra gra, armaty strzelają na wiwat. A caryca w pięknej sukni i koronie, pachnąca, aż dech zapiera, w otoczeniu generałów. Gdy podeszła do mnie, to myślałem, że albo zemdleję, albo zaraz do nieba się uniosę. O, tak to było!"

Czasami, gdy tak opowiadał, przyjeżdżał stary *Unyś* — Onufry, tak chyba będzie po polsku — wielki, ponury mężczyzna z blizną na twarzy i drewnianą nogą. Tamten *dziadźko* zaczynał wtedy jakoś dziwnie, nienaturalnie się zachowywać. Zacinał się, zdania rwały mu się w połowie. Zaraz też odchodził. Chudy, drobny, lekko przygarbiony, wyglądał trochę śmiesznie, może nieco żałośnie, gdy przyspieszał kroku jakby uciekając. „A co on tu znowu za głupoty opowiadał" — grzmiał *Unyś.* „Pewnie mówił, że był na wojnie, że palce stracił... Ty, bohater — krzyczał za odchodzącym — powiedz, jak to palce odrąbałeś siekierą. A na jakiej to wojnie było!?"

Unyś? O, to była figura! Przed wojną miał jakąś rentę. Ponoć mógł wtedy kupić za nią dwie krowy. Może to i prawda. Był na wojnie. Tam stracił nogę i twarz mu tak wykrzywiło. Mówił, że walczył z Niemcami w 1914 roku, gdzieś na Mazurach. „Co tam się wyprawiało w czasie bitwy, tego nie da się opowiedzieć. Raz, pamiętam, pada komenda: naprzód! I wszyscy wyłażą z okopu z założonymi bagnetami. Przedtem dawali nam spirytus, dla odwagi, ale i tak mało kto się nie bał. Nie było jednak wyjścia, musiałeś iść do przodu, bo jak nie, to z tyłu czekała już swoja kula. Szedł więc człowiek i nie myślał o niczym. Tylko jak przejść. Jak jakiś Niemiec pojawił się naprzeciw, to go na bagnet i za siebie, przez ramię. I dalej. Czasem któryś patrzy ci prosto w oczy i pokazuje cztery palce — ma czworo dzieci. Ale co z tego? Jak nie ty jego, to on ciebie. A i nie ma czasu zastanawiać się. Bitwa. Kiedyś podczas natarcia granat wybuchł mi pod nogami. Obudziłem się w szpitalu, bez nogi i z rozłupaną szczęką. Gdy dowiedziałem się, że spotkało mnie takie nieszczęście, chciałem skończyć ze sobą. Ale byłem tak słaby, że nie dałem rady nawet ręki podnieść. A później, jak poczułem w sobie siły, że one wracają, to i odechciało mi się umierać. Przestały boleć rany, mogłem normalnie jeść, a i obiecali, że zwolnią do domu i dadzą pieniądze. Tak i ta urwana noga została moją żywicielką. A że człowiek kulawy... Ręce mam zdrowe i mocne, jak kogo chwycę, ciężki jego los." No i prawda, nie pamiętam, żeby ktoś wchodził mu w drogę.



Słyszałem kiedyś taką opowieść. W sąsiedniej wiosce żył pewien młody człowiek, którego nazywano *Wyrwidub.* Gdy nasi chłopcy przyganiali poić konie niedaleko tej wsi, on przychodził, bił ich i rozganiał konie. I wszyscy bali się go okropnie, bo był silny i wredny. Ale *Unyś* jak dorósł (miał chyba 17 lat), tak powiedział: „Starczy już tego, albo mi będzie kaplica, albo jemu" i pojechał z chłopakami poić konie. Po jakimś czasie zjawia się *Wyrwidub* z wielkim dębowym kijem w ręku. Wszyscy nasi uciekli, tylko *Unyś* został. Zaczęła się bitwa. Na początku *Wyrwidub* tak przeciągnął go po grzbiecie, że ten aż przyklęknął. Wszyscy myśleli, że koniec z *Unysiem.* Ale on wstał, jednym ruchem wyrwał ten kij z ręki *Wyrwiduba* i zaczął łomotać go po kościach... Tamten ledwo doczołgał się do domu. I więcej nie przychodził do wodopoju wyganiać naszych. Tak i *Unyś* dobił się swego. A tym dębowym kijem to i charakter odbił dla *Wyrwiduba.*

— Dębowym kijem? — zapytałem.

— A czemu nie? Można komuś nerki odbić, można i charakter. Problem tylko w tym, że na różnych ludzi potrzebne są różne kije.

A raz *Unyś* i *Giez* — tak nazywali jednego we wsi — pojechali za Bug do młyna. Wracali z pełnym wozem mąki i otręb. Akurat prom, co przeprawiał przez rzekę, popłynął z ładunkiem na drugą stronę i *Unyś* z *Giezem* zmuszeni byli czekać z pół godziny. No, a *Unyś,* jak to on, szybki, zdecydowany i niecierpliwy, a i trochę podpity, zdenerwował się, że musi sterczeć „nie wiadomo czemu" na brzegu rzeki. Wyrwał lejce i trzasnąwszy po koniach batem krzyknął: „Jak to, to ja Wołgę sam przepływałem, a zasranego Bugu nie przejdę!?" Znaleźli się w wodzie. *Giez* nie miał nawet czasu zeskoczyć, trzymał się więc kurczowo kłonicy. Po kilku metrach wóz zanurzył się prawie cały. Konie zaczęły płynąć. Widząc zbliżający się prom *Unyś* skoczył do wody i zaczął krzyczeć do kierującego przeprawą: „Malinowski, *spasaj,* niech *Giez* tonie!" Ale Malinowski wyciągnął ich obu. Konie dopłynęły do brzegu z jednym zamokłym zupełnie workiem otręb na wozie. Tak to *Unyś* potrafił zrobić i nikt do niego nie miał otwarcie pretensji.

Ojciec opowiadał, a ja tworzyłem tę postać w mojej wyobraźni, która, jakby zaczarowana, nie pozwalała mi na swobodne zamykanie się w wymyślonych przeze mnie sytuacjach, co czyniłem łatwo z innymi ludźmi, których mogłem nagrodzić, sponiewierać albo też trzymać zupełnie na uboczu. Ale *Unyś* nie był sam. Obok niego szedł, zawsze odwrócony plecami do mnie i lekko przygarbiony, ten *dziadźko,* któremu caryca Katarzyna przypinała ongiś medal. I jeśli wtedy, gdy słyszałem opowieść o nim, drobna postać ginęła za sylwetką *Unysia,* tak teraz ukazywała się ona ze zdwojoną siłą. Oczarowany osobowością *Unysia,* jego niezłomnym charakterem, zapominałem jednak czasem o tamtym, jak mi się zdawało, słabym człowieku. Może nawet nim pogardzałem, a może czułem litość? Albo obojętność. A gdy wyobraziłem sobie ową sytuację, gdy *Unyś* zbliża się do grupki dzieciaków słuchających z zaciekawieniem *dziadźka,* który po chwili z wyraźnym zakłopotaniem odchodzi, na ich twarzach zauważyłem jakiś szyderczy uśmieszek. I teraz wiem, że było to tylko moje odczucie i że tak naprawdę, to tylko ja się uśmiechałem. Bo może tam, wtedy, niektórzy zasmucili się, gdy zobaczyli odchodzącego szybko przygarbionego człowieka. A co pomyśleli o *Unysiu,* którego głos przywoływał rzeczywistość? Marzenia ulatywały w jednej chwili, kurczyły się, garbiły i znikały, jak odchodząca postać. Czy ktoś pobiegł aby zatrzymać tego człowieka? A może jedynie śmiech zmieszany z grzmiącym głosem *Unysia*: „Ty, bohater..." doganiał go?

Ale następnego dnia znów słuchali *dziadźka.* Sam przychodził do nich i opowiadał. I było w tym coś, co sprawiało, że nie odtrącali go. I znajdowali wtedy wszystko, czego tak bardzo pragnęli, do czego tak tęsknili. A była to nierzeczywistość — ani bliski świat, ani daleki, tyle samo znany, co na nowo odkrywany. Ot, taki nieważny, jak mówią, nieprawdziwy.

Unyś też czasami opowiadał różne historie. Ale jakże inaczej go słuchali. Każde słowo było jak cios, zadawało ból. Przerażające imaginacje tworzyła wyobraźnia, ożywiana prawdziwym krzykiem ojca czworga dzieci wbitego na bagnet albo rozrywanych wybuchami koni, które teraz tak spokojnie przecież pasły się koło lasu. I *Unyś* przeżył to wszystko kiedyś. Rzeczywistość utrwaliła się w nim z całą mocą. Trudno o wierniejszy obraz świata niż taki, którym jest człowiek.

— Ale wiesz, ten *Unyś...* On był taki złośliwy. Lubił komuś zaleźć za skórę i bawiło go to — ojciec powiedział „złośliwy" z wahaniem w głosie, jakby brakowało mu słowa.

— Pamiętam, że czasami, gdy kręciły się koło niego dzieciaki, rzucał na ziemię drobne pieniądze. Małe, chciwe ręce zbierały każdy grosik wyszarpując sobie nawzajem zdobycz, a *Unyś* drewnianą nogą celował w umykające zwinne dłonie. Śmiał się, gdy któraś z nich trafiała nagle w pułapkę, a przycisnąwszy ją mocniej do ziemi, puszczał po chwili. I mi też raz tak rękę przycisnął. Bolała później przez parę dni. Mówili też ludzie na wsi, że *Unyś* często jeździł do Wysokiego. Tam kręciła się zawsze koło niego jakaś hołota, gotowa na wykonanie każdej roboty, byleby tylko dostać parę groszy. Uważano go tam za znaczną osobę.

— A co się z nim stało później, po wojnie? — zagadnąłem.

— A co, nowa władza zaczęła płacić mu nowymi pieniędzmi. Nie miał ich już tak dużo, jak przedtem. Zaczął więcej pić, choć to nie to, że pił więcej, a raczej starość — coraz słabszy był — wykończyła go. Pożył jeszcze parę lat, nie pamiętam ile. Jeździł taką furmanką w parę koni, ale już bardzo przygaszony, choć dalej dumny i groźny. Zawsze już go takim będę pamiętał.

— A ten drugi *dziadźko*?

— A, ten to filozof był. O, na przykład, miał zapalniczkę. Chwalił się nią przed wszystkimi. Wyjmował ładne, błyszczące pudełko, podnosił przykrywkę i zapałką wzniecał płomień, żeby móc uruchomić maszynkę, jak mawiał. I wtedy dopiero, już od płomienia zapalniczki, przypalał papierosa. Filozof — ojciec uśmiechnął się i sam zapalił.

— Kiedyś, pamiętam, zgubił swoją maszynkę. Było to latem, w czasie żniw. Cała wieś zwoziła wtedy akurat zboże z pól. A on przez cały dzień, bez przerwy, chodził wszędzie, po drogach, polach, podwórkach i szukał zguby. Zboże go wcale nie obchodziło.

— Ale w końcu znalazł tę zapalniczkę?

— A gdzie tam! Ani tego dnia, ani następnego, ani nigdy później. Przepadła. On już nawet i po domach zaczął chodzić, do każdego zawitał. Tak i zboże zmokło i porosło, i zapalniczki nie znalazł. Od tamtej pory zrobił się jakiś dziwny. Przestał opowiadać nam swoje historie, unikał ludzi. Czy to przez tę maszynkę, czy może ze starości — miał już wtedy ponad 70 lat — stał się taki? Nie wiem. Mówili, że nocami wychodził z domu i plątał się po okolicy. Którejś zimy — były duże mrozy — wyszedł i nie wrócił. Dopiero na wiosnę, gdy zaczął tajać śnieg, znaleziono go nieżywego. Siedział przy gruszy, co stała pięćdziesiąt metrów od jego domu.

Jerzy Sulżyk

Fot. Archiwum

Witaj w Supraślu!

Od kilku lat coraz śmielej mówi się, że dużą szansą zapuszczonej ściany wschodniej jest turystyka. Zapóźnienie gospodarcze z jednej, a niewątpliwe walory przyrodnicze i turystyczne z drugiej strony sprawiły, że coraz więcej samorządów i aktywnych środowisk lokalnych decyduje się na zainwestowanie w przemysł turystyczny. Dopóki jednak zjawią się u nas zachodni turyści z kieszeniami wypchanymi walutą zjednoczonej Europy, należy ich do tego nakłonić atrakcyjną i rzetelną reklamą. O tym, jak nie powinno się tego robić, można przekonać się na przykładzie Supraśla.

Niedawno, nakładem Współczesnej Oficyny Wydawniczej, ukazał się przewodnik najbardziej znanego aktywisty Towarzystwa Przyjaciół Supraśla, Wojciecha Załęskiego.

Jak nietrudno zgadnąć, celem gustownie i na dobrym papierze wydanej broszury (32 strony), było zainteresowanie w przystępny sposób najciekawszymi miejscami związanymi z historią miasteczka. Tekst został napisany w konwencji swobodnej gawędy, snutej przez przewodnika. Stąd znalazły się tam fragmenty typu: „Spod ratusza proponuję spacer ulicą Dolną. Jej główną urodą są kwiaty. Pod tym względem ulica Dolna wcale nie jest wyjątkowa. Kwiaty stają się specjalnością Supraśla, zwłaszcza jesienią dostrzeżesz je bez trudu", czy: „zmęczony zwiedzaniem miasteczka, z głową naładowaną historią, wejdź na teren ośrodka konnego. Nic tak nie pozwala odpocząć, „wyciszyć się", jak widok spokojnie skubiących trawę koni. Świat natomiast najpiękniejszy jest z końskiego grzbietu. Nie wierzysz? Spróbuj przekonać się sam".

Połowę objętości przewodnika, co zresztą zrozumiałe, zajmuje historia Ławry Supraskiej. Szkoda tylko, że nie jej prawdziwe dzieje, lecz bardzo swobodna, żeby nie powiedzieć kłamliwa, interpretacja autora — jak sam o sobie mówi: „potomka spuścizny świetnych unitów". Miłośnik supraskich dawności o Cerkwi prawosławnej pisze jakoby „w 1596 roku w Brześciu nad Bugiem porzuciła schizmę i unią świętą pojednała się z Rzymem", ufundowaną przez prawosławnych magnatów cerkiew obronną pw. Zwiastowania Matki Bożej nazywa „gotyckim kościołem" wzniesionym jako unicki. Dopiero „Rosjanin z Suzdala Jona" i żona Aleksandra Jagiellończyka Helena „przerywają zbliżenie klasztoru z kulturą Zachodu, a fundacja supraska przyjmuje charakter prawosławny".

Przeogromna zapewne w przypadku autora znajomość technik budowlanych w XVI wieku zaowocowała twierdzeniami typu: „Pogodzenie finezyjnej, matematycznej lekkości konstrukcji gotyckiej z ciężkim stylem bizantyjskim nie było rzeczą łatwą. (...) Wbrew logice konstrukcyjnej wprowadzono kopułę. Bęben, nie mając odprowadzenia siły cisnącej masy kopuły, rozłaził się przez czterysta lat. Było to zmorą, wieczną udręką dla użytkowników" (osobiście życzyłbym współczesnym architektom jak najwięcej obiektów, które wytrzymałyby ponad 400 lat. A zapewne i dłużej, gdyby nie dość radykalna ingerencja człowieka).

Równie komiczne opinie i uzasadnienia można mnożyć. Można by je również złożyć na karb wybujałej fantazji autora, gdyby nie pewne przestępstwo, popełnione, jak mniemam, z premedytacją.

W przewodniku nie ma ani słowa o tym, kto współcześnie podjął się trudnego dzieła odbudowy świetności Ławry Supraskiej, i kto jest jej prawowitym właścicielem — prawosławnej wspólnocie zakonnej. Lektura przewodnika upoważnia do stwierdzenia, że uczyniono to z premedytacją.

Po przejrzeniu broszury, ale jeszcze przed zdaniem jej na makulaturę, zapoznaj się, Szanowny Czytelniku, z informacjami umieszczonymi na stronie drugiej. Dowiesz się z nich, że zostałeś nabity w butelkę za pieniądze z Narodowego Funduszu Ochrony Środowiska, pochodzące z budżetu, a więc — twoje własne.

Przyjemnie, prawda?

Jerzy Kalina

Wojciech Załęski, „Witaj w Supraślu", s. 32, Supraśl 1996.

Mówi Radio Erewań

Jak poinformowała białostocka prasa, wśród gości zwołanego przez prezydenta Aleksandra Łukaszenkę Ogólnobiałoruskiego Zgromadzenia Ludowego była jedna osoba z Polski — Jan Syczewski, przewodniczący Białoruskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego w Białymstoku — ponoć wymieniony przez prezydenta Białorusi jako przedstawiciel białoruskiej mniejszości w Polsce.

Poglądy i sympatie polityczne Jana Syczewskiego i członków Białoruskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego są niewątpliwie ich prywatną sprawą. Z całą pewnością jednak Jan Syczewski nie jest przedstawicielem białoruskiej mniejszości narodowej w Polsce. Z tej prostej przyczyny, że nikt nie przeprowadzał u nas odpowiednich demokratycznych i zgodnych z polskim ustawodawstwem procedur wyborczych, upoważniających go do używania takiej tytulatury.

Jest za to przewodniczącym jednej z dziewięciu równoprawnych organizacji białoruskich legalnie działających w Polsce. I tylko jako taki może być zapraszany i brać udział we wszystkich imprezach, na jakie ma tylko ochotę. Warto o tym pamiętać, szczególnie przy okazji tak kontrowersyjnych osób i wydarzeń, jak Aleksander Łukaszenka i Ogólnobiałoruskie Zgromadzenie Ludowe.

Jak informuje „Kurier Poranny", „po dwóch latach dobiegł końca remont kościoła filialnego parafii rzymskokatolickiej w Wysokiem Mazowieckiem. Obiekt jest w województwie łomżyńskim unikalnym przykładem budownictwa cerkiewnego. W swej burzliwej historii budynek, wzniesiony pierwotnie jako drewniana świątynia w roku 1569, był najpierw cerkwią unicką, od 1875 roku — cerkwią prawosławną, a od zakończenia pierwszej wojny światowej — kościołem katolickim".

Cerkiew prawosławną w Wysokiem Mazowieckiem wybudowano w 1553 roku. Parafia, należąca do prawosławnej diecezji włodzimierskiej, miała dwie włóki ziemi, a obsługiwał ją jeden duchowny. Na terenie parafii była jedna świątynia. Tyle fakty historyczne.

Tymczasem w Wysokiem Mazowieckiem odbudowuje się cerkiew unicką wzniesioną 27 lat przed soborem unijnym w Brześciu. Remont dawnej cerkwi, zawłaszczonej na kościół rzymskokatolicki, finansują zgodnie władze miejskie i wojewódzki konserwator zabytków. Stawiamy ich za wzór ekumenicznego podejścia do spuścizny prawosławia, a dziennikarzowi „Kuriera Porannego", podpisującemu się inicjałami „mag" — piątkę za dociekliwość.

Prawosławny Ośrodek Miłosierdzia zaprasza

Koncert dobroczynny

Prawosławny Ośrodek Miłosierdzia Diecezji Białostocko-Gdańskiej został powołany 15 czerwca br. na podstawie Ustawy o Stosunku Państwa do Polskiego Autokefalicznego Kościoła Prawosławnego. Cele i metody działnia Ośrodka reguluje statut, zatwierdzony przez Jego Ekscelencję Najprzewielebniejszego SAWĘ, Arcybiskupa Białostockiego i Gdańskiego.

Prawosławny Ośrodek Miłosierdzia wypełni lukę w działalności naszego Kościoła w dziedzinie profesjonalnej pomocy charytatywnej osobom potrzebującym. Dotychczasowa, doraźna i mało zorganizowana praca w tym kierunku mimo to przynosiła okazałe efekty. Działalność charytatywną Cerkiew prowadzi od lat. Do tej pory szczególnie silnie były w to zaangażowane Bractwo Młodzieży Prawosławnej i Bractwa Cerkiewne. Jako przykłady można podać akcję bezpłatnego wydawania gorącej zupy majbardziej potrzebującym mieszkańcom Białegostoku oraz wieczerze wigilijne i śniadania wielkanocne dla osób ubogich i samotnych. W ciągu całego roku szkolnego były opłacane obiady uczniom z rodzin biednych i patologicznych. Zimą i latem organizowano dla nich obozy wypoczynkowe, w których brali udział także wychowankowie Domów Dziecka. Takie obozy odbyły się w Gródku i Królowym Moście. Należy też dodać pomoc humanitarną dla dotkniętej wojną Serbii oraz ludności zamieszkującej kraje za naszą wschodnią granicą.

Chcemy kontynuować wszystkie sprawdzone dotychczas formy działalności. Mamy nadzieję, iż nowo powstały Ośrodek przyczyni się do dalszego ich rozwoju, jak również stanie się platformą współpracy z innymi Kościołami w sferze pomocy najbardziej potrzebującym.

Prawosławny Ośrodek Miłosierdzia pragnie być pomostem łączącym ludzi o różnych orientacjach. Nie będziemy rozgraniczać potrzebujących na „my” i „oni”, chociaż za jedno z ważniejszych swoich zadań uważamy pielęgnację tożsamości kulturowej ludzi zamieszkujących obszar naszego działania.

Chcielibyśmy być współczesnymi samarytaninami z ewangelicznej przypowieści, otwartymi na krzywdę i biedę ludzką.

Dziś stoimy przed ogromem zadań, a jednocześnie musimy pokonać wiele problemów organizacyjnych i finansowych. Obecnie staramy się wypracować formy działalności i sondujemy potrzeby społeczne w tej dziedzinie. Szukamy osób i instytucji chcących przyjść nam z pomocą.

W najbliższym czasie planujemy wznowić akcję bezpłatnego wydawania gorącej zupy osobom ubogim i bezdomnym. Nadal będziemy zajmować się dziećmi. Oprócz finansowania obiadów szkolnych, letniego i zimowego wypoczynku, chcemy wypracować nowe formy pomocy. Jest już stała grupa młodzieży, która opiekuje się wychowankami Domów Dziecka w Białymstoku i Supraślu. Dzieci te można było spotkać na pieszej pielgrzymce na Grabarkę oraz na wielu nabożeństwach w cerkwi. Marzeniem ich opiekunów (starszych kolegów) jest powołanie Prawosławnego Domu Dziecka.

W dalszych planach naszej działalności będzie utworzenie Prawosławnego

■ Prawosławne cuda w XX wieku

Uratowani na skraju przepaści

Był drugi miesiąc wojny. Z frontu dochodziły zatrważające wieści. U nas, w zakładzie, zaczęły pojawiać się słuchy o ewakuacji. W laboratorium zakładowym, którym kierowałem, rozpocząłem odpowiednie przygotowania.

Pod koniec sierpnia wczesnym rankiem wezwano mnie do komitetu partyjnego. W gabinecie sekretarza było już kilka osób. Gdy wszyscy wyszli, sekretarz zwrócił się do mnie:

— Jerzy Pawłowiczu, Niemcy przerwali linię obrony i szybko posuwają się w naszym kierunku. Zakład wywieziemy nocą, a teraz musimy wywieźć to co najważniejsze — dzieci. Jesteście osobiście odpowiedzialni za ewakuację przedszkola zakładowego i personelu. Jest sto dwoje dzieci. Zabierzecie się na dwie ciężarówki, trzecia powiezie żywność i najpotrzebniejsze rzeczy. Weźmiecie najlepszych kierowców — Michaiła Stepanowicza, Kostię Rabczenko i Swietłanę Utkinę. Pomoże wam Finikow. W tej kopercie są dokumenty, pieniądze i trasa. Wyjeżdżajcie natychmiast. Żona z walizkami oczekuje was na dole. Życzę szczęśliwej drogi.

— A co z laboratorium? — zapytałem zaskoczony.

— Wszystkiego dopilnuje wasz zastępca. Nie martwcie się! Powodzenia!

Jak we śnie żegnałem się ze współpracownikami, uściskałem żonę. Na fabrycznym placu stały, upchane przestraszonymi i płaczącymi dziećmi, gotowe do odjazdu ciężarówki. Przywitałem się z kierowniczką przedszkola, wychowawczyniami, i poszedłem do pierwszego samochodu. Za kierownicą siedział Michaił Stepanowicz. Znaliśmy się do dawna. W kabinie podałem mu rękę i usiadłem obok.

— Jedziemy? — zapytał.

— Tak.

Ruszyliśmy. Za ciężarówkami biegły i coś krzyczały matki, ojcowie, babcie. Dzieci płakały i wyciągały do nich ręce. Widziałem i słyszałem to jak przez mgłę.

Samochody wyjechały z miasta na zatłoczoną szosę. Nie minęła nawet godzina, gdy pojawiły się niemieckie samoloty, a wokół zaczęły wybuchać bomby.

— Musimy stąd znikać — wymruczał Michaił Stepanowicz i skierował ciężarówkę do lasu. Obejrzałem się. Kostia i Swietłana jechali za nami. Po godzinie postoju, gdy wybuchy ucichły, ruszyliśmy dalej. Po jakimś czasie samoloty ponownie zaczęły krążyć nad naszymi głowami. Okolica była lesista, dzięki czemu na czas udało się nam ukryć pod czaszą drzew.

Zdając sobie sprawę z powagi sytuacji, zebrałem Finikowa, kierowców, kierowniczkę przedszkola, by wspólnie zastanowić się, jak jechać dalej.

— Myślę, że w dzień powinniśmy jechać drogą przy lesie. Nocą będziemy musieli pokonać 90 kilometrów w czystym polu. Będziemy niewidzialni dla samolotów, i jakoś dojedziemy do celu — zaproponował Michaił Stepanowicz.

— Jak pojedziemy nocą bez świateł? — zapytał, ostrożny jak zawsze, Finikow.

— Jeśli noc będzie bezchmurna, to bardzo łatwo. Gdy zaś niebo zachmurzy się — zobaczymy — zaśmiał się Kostia.

Po przejechaniu zalesionego terenu zatrzymaliśmy się

Domu Opieki dla osób starszych, często chorych i opuszczonych.

Plany więc mamy ambitne. Ich realizacja wymaga znacznych funduszy. Czynimy już starania o pozyskanie pieniędzy. W tym celu 24 listopada br. o godz. 17.00 w Filharmonii Białostockiej organizujemy koncert dobroczynny, który będzie składać się z dwóch części. W pierwszej wystąpią chóry z muzyką cerkiewną. Obok chórów białostockich zaprezentuje się Młodzieżowy Chór Diecezji Przemysko-Nowosądeckiej. W drugiej części koncertu wystąpią zespoły z muzyką świecką (ludową). M.in. zagra i zaśpiewa „Małanka" z Bielska Podl.

Bilety na koncert dobroczynny są do nabycia w białostockich parafiach oraz w siedzibie Prawosławnego Ośrodka Miłosierdzia przy ul. Liniarskiego 2 (obok cerkwi św. Mikołaja), tel. 42-45-27.

Zwracamy się także z prośbą o ofiarę na rzecz Ośrodka. Nasze konto: **Prawosławny Ośrodek Miłosierdzia Diecezji Białostocko-Gdańskiej PBK I/O Białystok 370406-222864-27000-1-12.**

Marek Masalski

Dyrektor Prawosławnego Ośrodka Miłosierdzia Diecezji Białostocko-Gdańskiej

Program Koncertu Dobroczynnego

Filharmonia Białostocka 24.11.1996 r. godz. 17.00

Część I (muzyka cerkiewna)

Chór Młodzieżowy parafii św. Mikołaja w Białymstoku
— *dyrygent ks. diakon Aleksander Łysynkiewicz*
Chór Diecezji Białostocko-Gdańskiej
— *dyrygent ks. protodiakon Bazyli Dubec*
Chór Dziecięcy parafii św. Mikołaja w Białymstoku
— *dyrygent Ałła Dubec*
Chór Diecezji Przemysko-Nowosądeckiej
— *dyrygent Marianna Jary*

Część II (muzyka ludowa)

Zespół dziecięcy „Żurawinka" z Bielska Podlaskiego
— *kierownik Sergiusz Łukaszuk*
Zespół „Kałaski" z Białegostoku
— *kierownik Ałła Dubec*
Chór Diecezji Przemysko-Nowosądeckiej
— *kierownik Marianna Jary*
Zespół Białoruskiej Pieśni Ludowej „Małanka" z Bielska Podlaskiego
— *kierownik Sergiusz Łukaszuk*

na odpoczynek. Finikowowi i kierowcom kazałem położyć się spać, sam zająłem się ochroną naszego małego obozu. Zaskoczyła mnie całkowita cisza, dzieci nie kaprysiły, nie płakały, tylko cichutko przytulały się do swoich niań.

Gdy zupełnie sciemniało, ruszyliśmy dalej.

— Dobrze znacie tę drogę? — zapytałem Michaiła Stepanowicza.

— Nie, nie miałem okazji tędy jeździć. Ale nie martwcie się. Do rana dojedziemy na miejsce.

Cicho zaszeleścił deszcz. Byłem strasznie zmęczony. Oczy same się zamykały, głowa opadała. Zasnąłem. Zbudziłem się, gdy poczułem, że samochód się zatrzymał.

— Co się stało? — zapytałem.

— Zjechaliśmy z drogi, jedziemy po polu — poważnie odpowiedział Michaił Stepanowicz. Ciemno jak u Murzyna w brzuchu. No, chłopcy, poszukajcie drogi — zwrócił się do Kosti i Finikowa.

Drogi nie znaleźliśmy.

— Pojedziemy według kompasu — powiedział Michaił Stepanowicz. — Nie będziemy przecież stać w miejscu.

Gdy tylko ruszyliśmy, znowu zasnąłem. Zbudziły mnie gwałtowne hamowanie i głośny krzyk:

— Gdzie się pchasz pod koła! Czego chcesz?

Spojrzałem przed siebie. Kilka kroków przed nami majaczyła figura kobiety w białej szacie, z rękami rozpostartymi w obie strony.

— Obywatelko, czego chcecie? — zapytałem.

Kobieta milczała. Kierowca wyskoczył z kabiny, wrócił po chwili.

— Nikogo nie ma. Przywidzenie, czy co?!

— Nie, kobieta tu stała — powiedziałem — wysoka, w białym ubraniu.

— Zażartowała sobie z nas, a mnie aż skóra ścierpła ze strachu — ze złością odpowiedział kierowca.

Uruchomił silnik. Nie zdążyliśmy ruszyć z miejsca, gdy biała postać zjawiła się ponownie. Poczułem dziwny strach.

— Proszę się zatrzymać! — krzyknąłem do kierowcy.

Obaj wyskoczyliśmy z kabiny. Podbiegł Kostia.

— Co się stało?

Nie czekając na nas, Michaił Stepanowicz rzucił się w kierunku kobiety. Po chwili straciliśmy z oczu obie postacie.

— Szybko do mnie! — usłyszeliśmy krzyk. Pobiegliśmy w kierunku głosu.

— Ostrożnie, stójcie! — przytłumionym głosem wyszeptał kierowca, pokazując na coś przed sobą. Po chwili zauważyliśmy brzeg urwiska. Staliśmy na skraju, a kamyczki z szumem staczały się w dół.

— Dlaczego stoimy? — podbiegła do nas Swietłana.

— Dlatego — wymamrotał Kostia, pokazując na urwisko.

— Gdyby nie Ona — Michaił Stepanowicz zdjął czapkę — wszyscy leżelibyśmy na dnie. Jego głos drżał.

— Wujku Misza, o kim mówicie? — zapytał przestraszony Kostia.

— Co, jeszcze do ciebie nie dotarło?! Któż by to mógł być, jeśli nie Matka Boża?!

— Gdzie ona była — wyszeptała Swietłana.

— Tu, teraz — również szeptem odpowiedział Kostia i zdjął czapkę.

oprac. (jk)

Na podst. książki „Prawosławnyje czudiesa w XX wiekie", Moskwa 1993 r.



ZAMÓWIENIE

Zamawiam kasetę zespołu Bieły Son w cenie 6 zł/sztuka
sztuk .....

ZAMAWIAJĄCY

imię i nazwisko ....
adres ....
....

Zamówienie realizujemy, wysyłając przesyłkę za zaliczeniem pocztowym.
Koszt przesyłki pokrywa zamawiający.

BIEŁY SON — tzw. muzyka środka, w większości ballady utrzymane w konwencji lekkiego rocka, do wierszy m.in. Łarysy Hieniusz, poetki znakomitej, a wciąż mało znanej. W środowisku Białorusinów w Polsce jest to kaseta pierwsza tego rodzaju i na razie jedyna.

15 listopada upływa termin nadsyłania prac na konkurs pt.

„Białoruskie pejzaże"

I. Prace powinny być dostarczone w trzech egzemplarzach, opatrzonych godłem, z dołączonymi (w zaklejonej kopercie) danymi personalnymi i adresem autora (autorów)

II. Prace będzie oceniać jury w składzie:
Jerzy Chmielewski,
Marian Pilot (przewodniczący),
Sokrat Janowicz.

III. Za najlepsze prace zostaną przyznane nagrody:
I — 1 500 zł
II — 1 000 zł
III — 500 zł

IV. Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi w grudniu br.

V. Prace konkursowe będą drukowane w „Czasopisie", a na początku przyszłego roku ukażą się w zbiorze pt. „Białoruskie pejzaże"

VI. Pełny regulamin został wydrukowany w czerwcowym numerze „Czasopisu".

KRZYŻÓWKA PANORAMICZNA

ikona	▼	twórca dzieła	▼	głos żeński / imię męskie	▼	pora dnia / w Siemianówce	metylofenol	▼
ostatni król babiloński ▶	17	▼	18	▼		▼		12
wprawa, biegłość ▶ / kapral morski		3		6	5		państwo Saragona II	
▶ 2			kamień szlach. ▶ / Anioł zwiastun				▼	
król Albanii 1928-39 ▶			▼	19	narząd wzroku. ▶ / stan hipnozy			11
przyrząd do rysowania pięciolinii ▶ / nagłe zwiększenie szybkości					▼ 4		9	
rywalka Aten	▼ 21	pieśń operowa	7	pierw. chem. l.a.88 ▶				miasto nad Narwią
▶ 1		▼				płynie przez Insbruck	X protoplasta Izraela	▼ 10
kanton w Alpach ▶ / jez. w Kanadzie	13		16	święta patronka Gruzji ▶		▼ 8	▼	
▶			20	pęk w stodole ▶	14			
krzemian magnezu ▶				15	marszałek Francji ▶			

Hasło utworzą litery z pól oznaczonych od 1 do 21. Osoby, które do 25 listopada br. nadeślą prawidłowe rozwiązanie, wezmą udział w losowaniu kaset magnetofonowych z muzyką białoruską.

oprac. A. Sołowianowicz

HUMOR ZE WSCHODU

Majster do ucznia:
— Weź w dłonie ten czerwony przewód.
— Wziąłem, panie majster, co dalej?
— Czujesz coś?
— Nie.
— W porządku. To znaczy, że pod napięciem jest inny przewód.

Na fermie.
— Panie dyrektorze, trzeba czym prędzej zmienić składniki mieszanki dla kur, bo wszystkie nam pozdychają.
— A ile już zdechło?
— Zdechły moje dwie świnie.

Naczelny do reportera:
— Co ci powiedział prezydent?
— Nic.
— Bardzo dobrze. Natychmiast przygotujesz materiał. Ale nie mniej niż sześć stron maszynopisu.

Przed wyjazdem do sanatorium żona pakuje walizki. Mąż, nie mogąc przekonać jej, by wzięła ze sobą mniej rzeczy, zdenerwowany chowa wszystkie ubrania z powrotem do szafy. Zostawia tylko kufajkę.
Po powrocie żony z sanatorium pyta ją o wrażenia.
— Nie ma czego nawet opowiadać. Inne kobiety, jak się patrzy — która do kina, która na tańce... A mnie gdzie w kufajce? Tylko w krzaki i w krzaki.

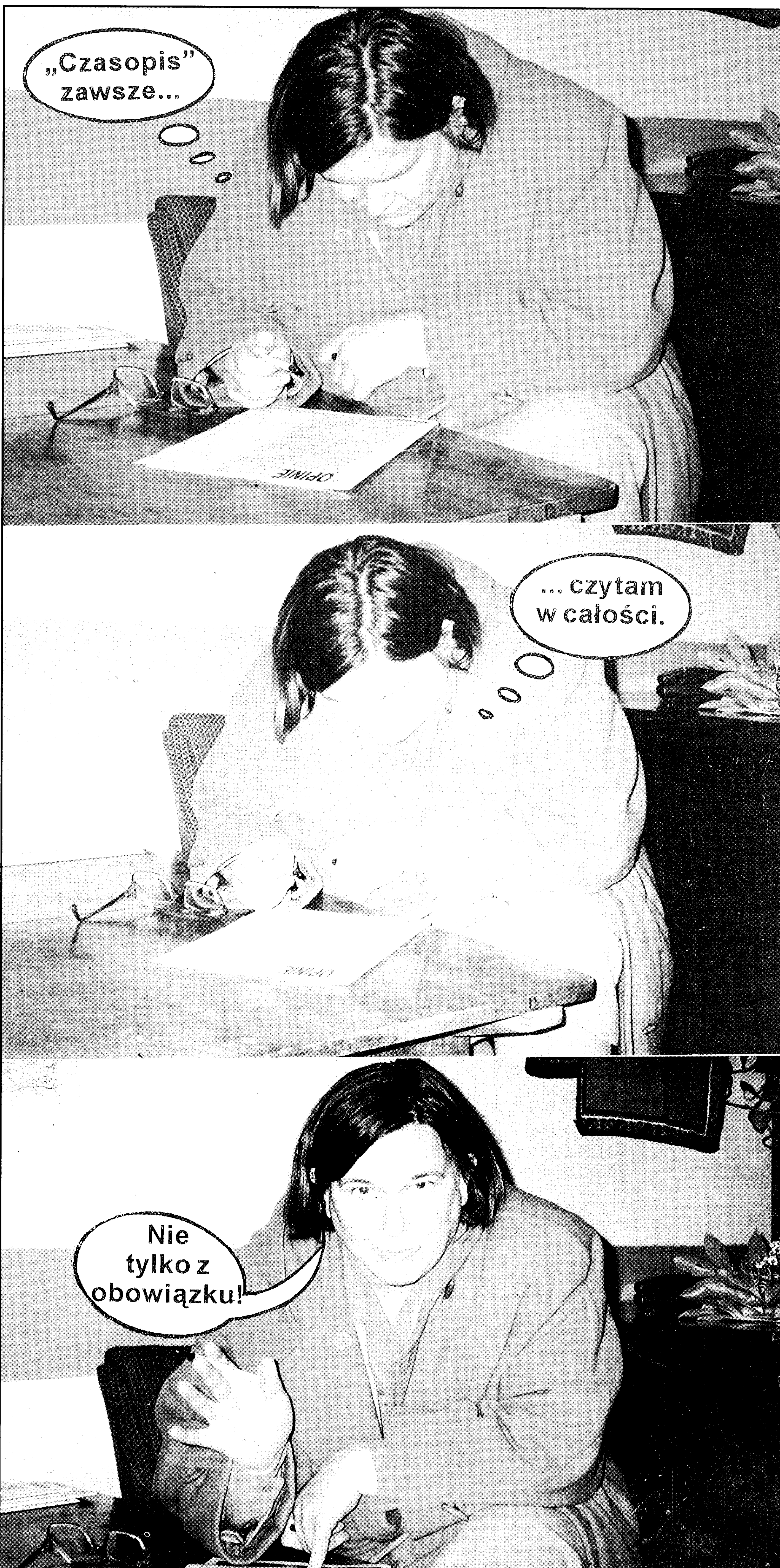
Właściciel sklepu żali się znajomemu.
— Przedwczoraj sprzedałem tylko jedną parę butów, wczoraj nie sprzedałem żadnej, a dziś jeszcze gorzej.
— Gorzej?
— A tak. Klient, który przedwczoraj kupił buty, dziś odniósł je z powrotem, żądając zwrotu pieniędzy.

Zdun, stawiając piec, z wielką uwagą kładzie kolejne cegły i za każdym razem podziwia własną pracę.
— Popatrz, popatrz, jakby ten piec już kiedyś tu stał.
Następnego dnia przychodzi nacieszyć się swoją robotą, klepie dłonią po piecu, a ten wziął i się rozwalił.
— Popatrz, popatrz, jakby tego pieca nigdy tu nie było...

Саша стукае ў дзверы.
— Чаго тут?!
— Я Ленін...
— А я — Чапаеў! — незнаёмы мужчына бразнуў дзвярыма.
Саша стукае надалей.
— Ну, што?
— Я Ленін муж.

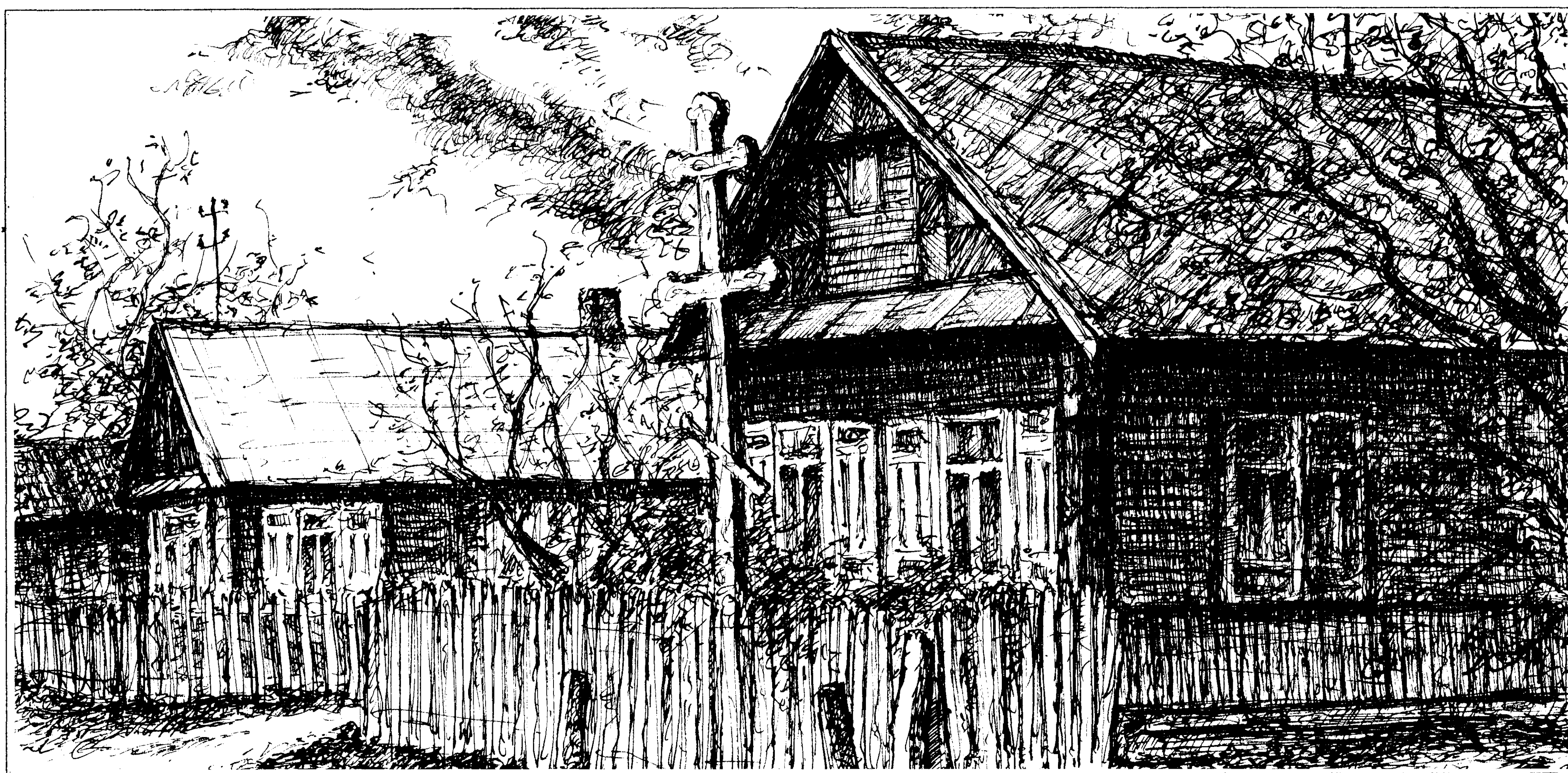
■ НАШЫ СУПРАЦОЎНІКІ

— Дарота Высоцка



Юрка & Юрка

ХРОНІКА МЯСЦОВАСЦІ



Мал. Яраслава Якімчука

КОШЭЛІЕ

З гэтага адрэзка „Хронікі мясцовасці" пачнем знаёміцца з мясцовасцямі былой Арлянскай воласці. Як першую прадстаўляем найбольшую і адну з найстарэйшых — вёску Кошэліе.

Старэйшыя арлянцы ўспаміналі даўней, што іх мясцовасць маладзейшая ад Кошэлюў. І гэтае меркаванне пацвярджаецца фактаграфічна. Першае ўпамінанне пра „Coszelie" запісана пад 1495 годам у акце надання магдэбургскіх правоў гораду Бельску. Сяло ўжо тады было раскінута па-над далінай ракі Орлі, за якой пачыналася каралеўская Камянецкая пушча. З пушчанскага боку даліны Кошеліе мелі „жереб" сваёй зямлі. Той жа „жереб", разам з „жереб'ем" вэрвэчскім ды лесам Тапчыкальскім кароль Аляксандр перараказаў князю Яську Іванавічу з правам заснавання горада. З цягам часу там узнікла Орля.

Разам з развіццём Орлі, у Кошэлях прыбывала жыхароў. Да баяр далучыліся сяляне. У 1577 г., калі Кошеліе з усёй Арлянскай воласцю належалі князю Юрыю Алелькавічу Слуцкаму, вёска займала 31 валоку зямлі, былі ў ёй дзве карчмы.

Буйнае развіццё перажываюць Кошэліе у час уладання двух князёў Хрыстафора ды Януша Радзівілаў. У 1654 годзе жыве ў іх 91 гаспадар. Сярод іх ужо толькі адзін, Омэліян Лютіч мог ганарыцца баярскім званнем. Ён, у адрозненне ад іншых сялян, які мелі па 0,25 валокі зямлі, валодаў дзвюхвалокавым (к. 40 га) надзелам.

Занепалі Кошэліе, як і ўся Арлянская воласць, у час войнаў паловы XVII ст. У 1663 г. многія дамы пуставалі: з 34 валок ажно 21 ляжала аблогай. Праз дзесяць гадоў былі ў вёсцы 34 абжытыя дамы, а ўжо толькі 13 валок не радзілі.

Жыццё кошэлёўцяў заўжды было непарыўна звязана з Орляй. Тут яны наведвалі Сімяонаўскую, пасля Міхайлаўскую царкву, якую з вёскі выдатна відаць. Тут у дворскі фальварак хадзілі адрабляць паншчыну. Некаторыя абслугоўвалі двор: столяры, стэльмахі, піваворы, бондары. Калі ў 1861 годзе з сялян быў зняты цяжар паншчыны, вёска пачала развівацца хутчэй. У 1867 г. у Кошэлях стаяла 47 дамоў, а ў 1900 г. — ужо 75.

Цяжкія былі аднак кошэлёўцы да пісьменнасці. Школа „граматы" ўзнікла тут толькі ў 1904 г., перш за ўсё дзякуючы намаганням асветных улад (праўда, частка дзяцей раней хадзіла ў арлянскае народнае вучылішча). Мо за тую ўпартасць ды іншыя рысы характару ў II палове XIX ст. некаторым сем'ям афіцыйна былі нададзены новыя прозвішчы: Пчола, Оса, Шэршэнь, Говорко.

Мікола Сахарэвіч